Wpisano do Katalogu periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 29. 10. 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 30 października 1960 r.

Nr 43 (139) Cena 1 zł

III

Spory w rodzinie — Logika prawa międzynarodowego — Pocztówki „z lotu ptaka" — Kierunek w nieznane via Rzym.

Co kierowało Raederem i Blombergiem, że powołali Canarisa na szefa „lisiej jamy"? Dlaczego to stanowisko zajmuje marynarka a nie lotnictwo, które wprawdzie nie istnieje jeszcze oficjalnie, ale najdalej w ciągu 2—3 miesięcy Führer z pewnością wypowie układ o kontroli zbrojeń i wtedy Luftwaffe wyjdzie z podziemia? Powstanie wówczas potężna flotylla bombowców. Lecz cóż znaczą bombowce bez dokładnych map z naniesionymi celami?

Pułkownik zastanawia się, jak wyjaśnić to zagadnienie oficerowi marynarki. Również i von Soolm zapomniał o cygarze. Co powie Heydrich o konferencji?

Obydwaj szefowie wywiadu znają się już od dawna. W 1922 r. Heydrich był kadetem na krążowniku „Berlin", a Canaris pierwszym oficerem tego statku. Po skandalu z córką inżyniera-stoczniowca musiał Heydrich zrezygnować z kariery marynarza. Z pomocą Hitlera mógłby teraz z powodzeniem podstawić nogę dawnemu przełożonemu. Heydrich jednak nie jest „czysty" — dziewczyna jego bowiem była Żydówką.

Wprawdzie oddział SS zniszczył na cmentarzu nagrobek z napisem „Sara Heydrich" i zastąpił nowym „S. Heydrich", a ci sami pomocnicy wtargnęli do urzędu stanu cywilnego i spalili kompromitujące metryki, Canaris jednak na pewno dobrze pamięta drzewo genealogiczne szefa wywiadu Himmlera.

Pan doktór rozumie również dobrze, że intrygi familijne nie mogą wpłynąć na bieg spraw. Obojętne zresztą, co sądzi o lotach pan kapitan Canaris. Wywiad powietrzny należy do wytycznych ich polityki, opiera się na stałym rozwoju lotnictwa i jest wpisany do planu zbrojeń. Zbrojenia zaś są jedyną deską ratunku gospodarki III Rzeszy. Tylko one mogą zatrzymać trwający od pięciu lat kryzys gospodarczy.

Po półtorarocznym panowaniu hitleryzmu nie bardzo spadła liczba bezrobotnych. Zima za pasem, a społeczeństwo z niechęcią wita puszki zbierających datki na pomoc zimową. „Socjalizm czynu" okazał się bluffem. Obok kryzysu gospodarczego grozi jeszcze poważniejszy — kryzys zaufania. Przeklęci komuniści wykorzystują sytuację i drwią cynicznie na głos. Nie dalej jak wczoraj sąsiadka, wdowa po majorze, opowiadała że cały Berlin śpiewa kuplet:

Dokończenie na str. 4

Znakomity pisarz, poeta i dramaturg Jean Cocteau w Polsce.

Wiersze francuskie w tłumaczeniu Stanisława Brucza — patrz str. 10

Sprawy Rodzinne

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

MŁODOŚCI,

gdzieżeś

skrzydełka podziała?

Niczego tak chętnie nie udzielamy jak rad. A już poradnictwo w sprawach wychowania bije wszelkie rekordy. — *Nie bój się, Kowalski, czwartego i piątego potomka, opatrzność czuwa.* Albo przeciwnie — *bój się, Kowalski, nadmiaru dzieci, bo klęskę urodzaju spowodujesz. Batem szczeniaka, panie Kowalski, pociągiem, pasem drania, żeby ruski miesiąc popamiętał, inaczej bandyta wyrośnie, patę mu w łapę, rewolwer i do lasu.* Albo przeciwnie — *łagodnie Kowalski, gorące serce ojcowskie, pieszczotki rozmiękczą najbardziej zatwardziałego chuligana.* — *Co się pan tak martwi panie Kowalski, pan też byłeś wielki rozrabiacz w małoletnim wieku i co? Wyrósł pan na porządnego człowieka. To i dzieciak wyrośnie, ma to po ojcu.* Albo przeciwnie — *pamiętaj Kowalski, czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci, walcz więc z niedobrymi nawykami od kołyski, karczuj, wykorzeniaj; mądre książki czytaj zapisz się na dzielnicowy uniwersytet.*

W wielu rodzinach straszy kuchenna pedagogika, sprzeczna, pogmatwana, zapisana sadzami w kominie, wzięta od dziadka i babki, archaiczna, pozaintelektualna, nieskuteczna. Ale to nie znaczy, bym nie doceniał, czy lekceważył wartość, która tkwi nawet i w tej pedagogice — uczucie, jakim darzą rodzice swoje latorośle. Lepiej byłoby wszakże oprawić to uczucie w rzetelną wiedzę o wychowaniu, stworzyć materialne warunki, sprzyjające trosce o dzieci.

CZY KONIEC PIEKŁA KOBIET?

Pytanie piekielnie poważne, ale w gruncie rzeczy chodzi o sprawę dosyć sobie prostą — o to, czy zmienią się w Łodzi i jak dalece zmienią się rzeczowe warunki, w których żyje

Dokończenie na str. 5

WACŁAW PIOTROWSKI

Leczenie „KOPCIUSZKA" (II)

Przed niedawnymi jeszcze laty można było często usłyszeć czy wyczytać określenie naszego miasta jako „Kopciuszka". Epitet ten nie odnosił się wyłącznie do słynnych łódzkich dymiących kominów. W tym popularnym baśniowym porównaniu zawarta była ocena całości Łodzi ze względu na upośledzona pozycję, jaka zajmowała w gronie wielkich miast polskich. Upośledzenie to dotyczyło zarówno materialnego stanu miasta, tandetnej zabudowy, niedorozwoju pod względem wyposażenia w wielkomiejskie instytucje, urządzenia i funkcje.

Łódź — miasto powstało jako przybudówka do przestrzennego skupiska kapitalistycznego przemysłu. Gwałtownemu rozwojowi przemysłu włókienniczego towarzyszył tylko ilościowy a nie jakościowy rozwój miasta. Wykoślawiona została przez system kapitalistyczny funkcja miasta jako dogodnego miejsca do życia dla poszczególnego człowieka a zarazem miejsca zbiorowego współżycia dziesiątków i setek tysięcy ludzi.

MANKAMENTY WSPÓŁCZESNEGO MIASTA

W okresie międzywojennym międzynarodowa postępowa myśl architektoniczna wypowiadała opinię, że w miastach współczesnych, których rozwój uwarunkowany był prymatem interesów i potrzeb gospodarczych, warunki życiowe nie odpowiadają elementarnym biologicznym, psychologicznym

Dokończenie na str. 4

JACEK LEBEN

ŚLEDŹ i WIELORYB

Czy wieloryb może połknąć śledzia? Oczywiście, że może, kiedy tylko zechce. Tak jest w świecie zwierzęcym. W polityce jest jednak nieco inaczej. Wieloryb — Stany Zjednoczone bardzo chcą połknąć kubańskiego śledzia i przetrawić go na swoją modłę, ale jak dotąd nie mogą. Ten pojedynek wieloryba ze śledziem pasjonuje opinię publiczną świata i jest poza tym znakiem czasu, bo jeszcze kilka lat temu amerykański wieloryb kubańskiego śledzia połknął by bez trudu.

Prasa zachodnia umieszcza w tej chwili wiadomości o tym trwającym pojedynku na najbardziej eksponowanych miejscach. Najważniejsze wydarzenia światowe zeszły nieco na dalszy plan.

Przed kilkoma dniami rząd Stanów Zjednoczonych zdecydował się na najbardziej drastyczny krok w historii całego amerykańsko - kubańskiego konfliktu. Nałożono embargo na eksport do Kuby wszystkich towarów poza żywnością i medykamentami. Ma to być pętla, która udusi Fidel Castro. Cały przemysł kubański wyposażony jest w amerykańskie maszyny. Przez dziesiątki lat kubańska gospodarka przystosowywała się jednostronnie do swego wielkiego sąsiada. Eksportowała cukier, tytoń, przyjmowała amerykańskich turystów, zaś wszystkie towary kupowano w Ameryce. Stany obcięły kwoty importowe na cukier. Cukrzana pętla próbowano udusić Kubę. Nie udało się. Kupiły cukier kraje socjalistyczne i neutralne. Propaganda amerykańska robi wszystko, żeby wstrzymać wyjazdy amerykańskich turystów na Kubę i w ten sposób nadwerężyć zapasy dolarowe tego kraju. Rząd kubański intensyfikuje gospodarkę, otrzymał szereg pożyczek od krajów socjalistycznych. W ten sposób zdusić kubańskiej gospodarki nie można. A więc embargo. Najdotkliwszy, najbardziej drastyczny cios. Gospodarka kubańska wyposażona w amerykańskie maszyny i urządzenia nie będzie miała części zamiennych. Stany liczą na paraliż szeregu gałęzi kubańskiej gospodarki. Czy uda się, czy ta pętla zdusi Castro? Na pewno zwiększy jego trudności i doprowadzi do obniżenia poziomu życia w tym kraju. Embargo jednak ma być jednym ze środków. Jednocześnie w Gwatemali i Nikaragui przygotowuje się zbrojna agresje na Kubę. Stany Zjednoczone nie mogą same dokonać agresji, liczyć się muszą z opinią publiczną świata, jak również z wielokrotnie powtarzanym przez Chruszczowa ostrzeżeniem, że w wypadku agresji ze strony Stanów Zjednoczonych Związek Radziecki wesprze walczącą Kubę swoimi rakietami.

Ale w Ameryce Środkowej i Łacińskiej zawsze znaleźć można najmitów. Demokratyczny kandydat na prezydenta John Kennedy przedłożył już receptę na „energiczniejszą akcję" przeciwko rządowi Castro. Akcja ta, to wciągnięcie do działań antykubańskich Organizacji Państw Amerykańskich i europejskich sojuszników USA oraz zasilenie sił kontrrewolucyjnych zarówno na emigracji jak w samej Kubie.

Najbliższe tygodnie lub nawet dni pokażą, jak daleko posuną się w akcji antykubańskiej Stany Zjednoczone, jak dalece akcja ta będzie skuteczna.

Przewodniczący komisji spraw zagranicznych senatu USA William Fulbright i senator Mike Mansfield wyrazili już watpliwość co do skuteczności bojkotu handlowego i obawę, że może on kosztować Stany Zjednoczone utratę bazy w Guantanamo.

Pewne zastrzeżenia co do słuszności decyzji USA wysuwają **„Washington Post"** i **„Christian Science Monitor"**. Pierwszy z tych dzienników stwierdza w artykule redakcyjnym: **„Wynikiem embargo może być jedynie zacheconie Kuby do jeszcze większego uzależnienia się od bloku komunistycznego i wywołanie kontrposunięcia przeciwko bazie morskiej w Guantanamo. Istnieje również niebezpieczeństwo, że w innych krajach posunięcie to zostanie przedstawione jako nacisk wielkiego kraju na jego małego sąsiada. Niepokojące oznaki wystąpiły już w Kanadzie. Embargo może być uznane za pogwałcenie układu panamerykańskiego, podpisanego w Bogocie w 1948 roku. Układ ten zakazuje stosowania „środków represyjnych" o charakterze gospodarczym przeciwko innym krajom amerykańskim".**

„New York Herald Tribune" zamieściła interesującą informację o nastrojach wśród delegacji Ameryki Łacińskiej w ONZ. Dziennik donosi, że delegacje te odbyły serię pośpiesznych rozmów w celu znalezienia ja-

(Dokończenie na str. 9)

MINĄŁ TYDZIEŃ

SERCE I KIESA

W ostatnim tygodniu ogłoszono urbi et orbi, że niektóre łódzkie zakłady pracy, związki zawodowe ufundowały poważne stypendia dla pisarzy. Ofiarodawców nie jest na razie zbyt wielu, trzy związki, zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP, prowadzi dalsze rozmowy, jest najlepszej myśli, że akcja się rozwinie, tym bardziej, że delegaci zakładów pracy podchodzą do tej sprawy z otwartym sercem i otwartą kiesą. Pomiędzy wysokimi stronami zostaje spisana umowa, zobowiązującą pisarza do określonych studiów, w wyniku których, jest to zbożne życzenie jednej i drugiej strony, powinno powstać dobre dzieło literackie, powieść, opowiadanie, reportaż, monografia.

Mamy więc w Łodzi do zanotowania szczególna formę mecenatu nad literatura, nie spotykana gdzie indziej. Rzecz nie jest nowa w swoim pomyśle, ale po raz pierwszy przybiera praktyczne zastosowanie. Pod tym względem Łódź wyprzedziła inne miasta. Z miejsca trzeba powiedzieć, że pomysł stypendiowania pisarzy, wbrew zdrowemu rozsądkowi, który kazałby się zachwycać tym projektem, napotyka na uwagi krytyczne, pochodzące z różnych środowisk, nawet wśród samych twórców budzą się różne refleksje.

Nasamprzód jednak należą się dwa słowa Czytelnikowi, który ze zrozumiałych powodów nie zawsze jest zorientowany w „wydajności warsztatowej" pisarza. Na ten temat można wiele powiedzieć, różne są doświadczenia, od 22-letniej pracy A. Tołstoja nad swoją Trylogią do 234 powieści obyczajowych i historycznych Kraszewskiego, różnie więc bywa z tym pisaniem. Dla naszych wywodów przyjmijmy umownie, że książkę „grubą na palec" pisze się rok, a „na dwa palce" — dwa lata. Przyjmijmy, że nad 10-arkuszową powieścią (200 stron maszynopisu) pracuje się rok. Przeciętne honorarium za taką pracę wynosi 20 tysięcy złotych. Ale: honorarium wypłacane jest ratami. Przy podpisaniu umowy autor otrzymuje 25 proc., po przyjęciu dzieła drugie 25 proc., przy podpisaniu książki do druku 40 proc., pozostałe 10 proc. po wyjściu książki na świat. W najlepszym więc wypadku autor może otrzymać połowę honorarium w ciągu jednego roku, jeżeli oczywiście uda mu się napisać książkę dobrą, która wydawnictwo natychmiast przyjmie. W następnym roku powinien zostać ukończony druk książki i dopiero wówczas można liczyć na wypłatę pełnego honorarium. A więc te pozornie „ogromną" sumę 20 tysięcy złotych, spoza której świata ma nie widać, trzeba rozłożyć na dwa lata; gdyby ktoś chciał się utrzymać wyłącznie z tej kwoty, miesięcznie wypadło by mu 876 zł. Goniec w redakcji zarabia 600 zł. I na tym zestawieniu rachunek winienem zakończyć.

Ale przecież praktyka wykazuje, że na druk książki czeka się nie rok, czeka się dwa lata albo i trzy; są wydawnictwa, które do umów wprowadzają dodatkowe klauzule, że druk książki może być odsunięty na lata i autor podpisuje się pod tym warunkiem. Przecież w trakcie pisania trzeba przeprowadzić szereg studiów, badań, na które potrzebne są i pieniądze i czas. Szołochow drwi ze współczesnych pisarzy (nie wszystkich!), że uciekają od życia, zamykają się w złoconych klatkach (wyrażenie dobre tylko jako przenośnia), odwołuje się do wielkich klasyków, Tołstoja, Czechowa, że dopiero oni znali życie. To niewątpliwie wielka prawda, przepraszam za zestawienie, ale właśnie dlatego Czytelnik łatwo pojmie, dlaczego wiruje koło zagadnień związanych z rachunkami; konwencje autorskie nie są najkorzystniejsze — nie krusze kopii o to, co i tak ma zostać zmienione, co postanowiono zmienić, stwierdzam tylko fakt, który nieraz zmusza pisarza do imania się prac często z jego zawodem nie mających nic wspólnego, chyba, że uznamy to za tak zwane poznawanie życia.

Czy w tej sytuacji akcja związków zawodowych w Łodzi zasługuje na baczniejszą uwagę? Niewątpliwie tak, ale nie z tego powodu, jaki mogą wysunąć ewentualni przeciwnicy; ta sprawa w moim rozumieniu nie ma nic wspólnego z trudnymi nieraz warunkami pracy pisarza. Półroczne stypendium, jak to widać na ilustracji honorarium, niczego jeszcze nie załatwia. Pomaga, ale sprawy nie rozwiązuje.

Przeciętny odbiorca książek jest odcięty od autora parawanem frazesów, utartych sloganów, które zacierają właściwy obraz pisarza. Czego się już nie mówiło o tym środowisku, i dobrze i źle, zgryźliwie i z życzliwością, żaden inny zawód nie posiada tak szerokiej skali ocen, pisarze byli „inżynierami dusz" i „sumieniem świata", schematyzm myślenia każe nam w niemal każdym epitecie dopatrywać się zawsze coś niezwykłego.

Dialog pisarzy z przedstawicielami świata pracy, uwieńczony wiadomym porozumieniem, sprowadza rzecz na ziemie. Stanowisko związków zawodowych jest wyrazem poszanowania słowa pisanego i to cieszy najwięcej. Słuchałem na ostatnim zebraniu w Związku Literatów deklaracji Chemików — jest ona wzruszająca w swej prostocie i delikatności, nie narzuca niczego, co by ograniczało swobodę twórczości. Ludzie pracy chcą tylko, żeby powstała dobra książka, najlepiej książka o Łodzi, która, jak powiada Maria Dąbrowska, będzie przemawiać do czytelników po latach, nawet wówczas, gdy zwietrzeją w niej przemijające aktualia. Czy nie przyklasnąć temu?

TADEUSZ PAPIER

MATYSIAKOWIE ZZA OCEANU

„Sprawa audycji seryjnych typu „rodzinnego" wywoływała w pewnym okresie w Stanach Zjednoczonych — podobnie jak dzisiaj u nas — wiele sporów i dyskusji. Charakterystyczne jest, że w dyskusjach tych — inaczej jak u nas — argumenty dotyczące estetycznej i artystycznej strony tych audycji nie grały niemal żadnej roli. Przyczyna leży, jak mi się wydaje, po prostu w tym, że Amerykanie są — chyba słusznie, niezmiernie dalecy od traktowania tych audycji jako zjawiska artystycznego, traktuje się je po prostu jako programy użytkowe, przy których ocenie kryteria estetyczne i artystyczne znajdują się na jakimś dalszym planie".

Tak pisze *Franciszek Studnicki*, w bardzo interesującym artykule *„Amerykańscy Matysiakowie"*, opublikowanym w ostatnim numerze *„Życia Literackiego"*. Radziłbym przeczytać ten artykuł tym wszystkim, którzy z takim zapałem dyskutowali niegdyś naszych „Matysiaków", a ostatnio — może zażenowani swoją samotnością, a może po prostu zniechęceni — nabrali wody w usta. W Stanach Zjednoczonych audycje typu „Matysiaków" — tam byli to państwo Goldberg albo państwo O'Neill — były (szczególnie w latach czterdziestych, bo potem funkcję radia zaczęła przejmować telewizja), czymś w rodzaju klęski żywiołowej. Ale tam — jak wynika z artykułu Studnickiego — nie bawiono się w histeryczne dyskusje, podjęto natomiast badania socjologiczne, dotyczące reakcji słuchaczy i wpływu, jaki „soap operas" (tak to nazywano) wywierają na ich postawy i opinie. Oczywiście, badania prowadzone były w celach komercjalnych, na życzenie firm, których towary reklamowano w czasie audycji. Wyniki były wszakże ciekawe i sądzę, że przeprowadzenie podobnych badań u nas miałoby jakiś sens. Dowiedzielibyśmy się przynajmniej, kto słucha „Matysiaków", i jak ta nasza „mydlana opera" oddziaływuje — bo że oddziaływuje, to pewne — na styl życia i sposób myślenia obywateli Polski Ludowej. Pożytek byłby niemały, nie żyjemy przecież w Stanach Zjednoczonych, i tekst „Matysiaków" mógłby — na podstawie wyników badań — ulec skontrolowaniu i zmianom, może korzystnym. Myślę, że główny grzesznik, czyli Polskie Radio, zmyłoby z siebie przynajmniej część winy (bo nadawanie „Matysiaków" czy „W Jezioranach" nie jest na pewno tytułem do chluby), podejmując się przeprowadzenia podobnych badań.

KŁOPOTY Z KSIĘCIEM

Saint-John Perse wydał nowy tom wierszy, w krótkiej notce zawiadamia o tym swoich Czytelników *„Życie Literackie"*, przypominając przy okazji życiorys poety-dyplomaty. Fakt godny jest odnotowania. Perse jest niewątpliwie największym z żyjących poetów Francji, a ostatnio usiłowano go obdarzyć tradycyjnym tytułem Księcia Poetów. Tytułem tym — po śmierci ostatniego Księcia Poetów, Jules Supervielle'a — uhonorowany został co prawda akademik Cocteau, wszakże w wyniku zamachu pałacowego — dokonanego oczywiście przez niesfornych nadrealistów — zarządzono wśród poetów ponowne wybory i zwolennicy Cocteau zostali pobici na głowę przez wielbicieli Perse'a. Ten przecież zareagował w sposób dość nieoczekiwany, publikując list, który przytacza w „Nowej Kulturze" Artur Międzyrzecki:

„Dowiadując się z prasy — i z opóźnieniem — o wyborach, w których wyniku stać się miałem „Księciem Poetów", czuję się w obowiązku oznajmić uczestnikom tej elekcji, że w żadnym wypadku nie mógłbym zgodzić się na noszenie tytułu, do którego nie czuję najmniejszego powołania".

Międzyrzecki komentuje rozsądnie list Perse'a, *„autentyczni poeci nie bardzo lubią — pisze — kiedy im grają na mandolinach i powiewają balonikami, poetyczne rekwizytornie nie współgrają bynajmniej z rodzajem zainteresowań współczesnej poezji".*

Wynika stąd nauka moralna o treści następującej: nie poetyzujmy poetów, oni tego nie lubią, nie uświęcajmy poetów, to ich złości, nie stawiajmy poetów na cokole, ani oni, ani czytelnicy tego nie potrzebują. Poeci też ludzie, piszą coprawda wiersze, ale korzystają przecież ze środków komunikacji miejskiej, rozmyślają nad zagadką bytu, ale w niedzielę wychodzą z dziećmi na spacer. Poeta na spacerze, poeta w ogonku po telewizory i poeta w tramwaju może bardziej, jak sądzę, liczyć na sympatię czytelników, niż poeta — książę, poeta — graf, poeta — wiceadmirał, poeta — pomnik.

LOS STUDENTA

„Dziś uniwersytet musi przygotować studentów do pełnienia określonych funkcji społecznych, a nie tylko kształcić kadrę naukową. Obserwujemy na całym świecie znamienny fakt: młodzież łączy swoje nadzieje i plany życiowe z własnymi zdolnościami, a nie na przykład z pozycją rodziców czy domu. I ta młodzież wywiera ogromny nacisk na uczelnię, zmuszając ją do reform różnego rodzaju".

Tak mówi w wywiadzie, opublikowanym w *„Przeglądzie Kulturalnym"*, wiceminister Szkolnictwa Wyższego, *Eugenia Krassowska*. Wypowiedź wiceministra dotyczy przede wszystkim studentów, o ich los tu chodzi, o los często dość smutny. Wywiad nazwałbym wszakże pocieszającym, pani Krassowska zapowiada wprowadzenie zmian i to zmian istotnych. W ostatnich latach uczelnie — to trzeba powiedzieć — nie wywiązywały się z obowiązku wychowywania studentów, studenta zaniedbywano, o pracy dydaktycznej zapomniano, pracownicy naukowi niechętnie widzieli się w roli wychowawców. Teraz będzie inaczej, oczywiście uczelnie muszą pozostać ośrodkami badań naukowych, ale przywrócono już — niegdyś zlikwidowaną — instytucję opiekunów grup i lat, poniektóre szkoły wyższe przeprowadziły — lub przeprowadzą kursy pedagogiczne dla asystentów, wiceminister liczy także na pomoc profesorów i Rad Wydziałowych, przynajmniej jeśli chodzi o dokształcanie pedagogiczne młodszych pracowników naukowych. Ministerstwo interesuje się także losem studentów potencjalnych, sprawa wyboru przez młodzież kierunku studiów, to problem niebłahy, obchodzący chyba także i pracowników uczelni. Dobrze się więc stało, że na mocy uchwały, podjętej wspólnie przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Ministerstwo Oświaty, do wyboru tego będzie się przygotowywać uczniów już w klasie X. Choć, jak trzeźwo zauważa wiceminister:

„Trzeba w opinii społecznej przezwyciężyć anachroniczne już dziś traktowanie matury jako przedsionka uczelni. Coraz bardziej będzie się ona stawać zjawiskiem powszechnym i dlatego musi otwierać bardziej realne perspektywy życiowe".

JERZY KMIECIŃSKI

(III)

W Skandynawii

Rysunki skalne z epoki brązu sprzed ok. 3 300 lat w m. Solberg, Norwegia.

Magister Jerzy Kmieciński, adiunkt Zakładu Archeologii UŁ przebywał ostatnio dość długo w Skandynawii, gdzie brał udział w pracach wykopaliskowych. Pobyt w Norwegii Szwecji i Danii dostarczył mu wielu ciekawych spostrzeżeń, z którymi chcielibyśmy zapoznać naszych Czytelników.

RED.

Drewniany kościół z XII wieku Fantoft, Norwegia

Pierwszą rzeczą, jaka zwraca uwagę archeologa w Skandynawii jest niesłychana wprost ilość kurhanów, stel, kręgów kamiennych. Skąd ta specyfika? to wielkie nasycenie? Wytłumaczenia należy szukać w warunkach naturalnych kraju. Po prostu nie ma skrawka ziemi, gdzieby nie wychodziła skała. Nawet najżyźniejsze tereny Norwegii (np. Rogaland) oraz Szwecji (wyjątek stanowi i to również częściowo Skania) pełne są kamienistych pól i skał. Jest to tak charakterystyczne zjawisko tutaj, że po jakimś czasie tęskniłem do porządnego, głębokiego piasku. Obfitość budulca nasuwała już najdawniejszym mieszkańcom Skandynawii sposobność praktycznego wykorzystania.

Jest upalny sierpniowy dzień. Jestem wieziony z wielką szybkością doskonałą szosą żyznej Skanii. Krajobraz zaczyna się zmieniać. Ustępują rozległe, pofałdowane połacie pól, zaczynają się lasy i... skały. To wschodnia, bardziej dzika część tego śpichlerza Szwecji. Za chwilę na obszernym, pochylonym zboczu ukazuje się olbrzymie zbiorowisko smukłych sterczących głazów. Brodzimy w wysokich, pachnących trawach. Głazy oglądane z bliska układają się w przeróżne figury. Są wiec tu czworokąty, figury w kształcie łodzi, kręgi i luźno sterczące stele czyli podługowate głazy. Są to ślady cmentarzyska, które powstało w czasie od V-go do X-go wieku n.e. w okresie, kiedy Skandynawia znajdowała się w ożywionych stosunkach handlowych i kulturalnych z Europą środkową, a nawet południową.

Całą południową i środkową Szwecję i Norwegię oraz znaczne połacie Danii zapełniają tajemnicze cmentarzyska z tego okresu. O bogactwie i znaczeniu kupców skandynawskich świadczyć mogą olbrzymie ilości złota znajdowane podczas wykopalisk w Skandynawii. Dziś zamknięte w gablotach muzealnych przepiękne bransolety i naszyjniki, pierścienie, zawieszki, zapinki — stanowiły niegdyś przedmiot pożądania. Czy niegdyś? Z pewnością i dziś. Gabloty z przedmiotami złotymi opatrzone są starannie w liczne urządzenia sygnalizacyjne. Dotknięcie gabloty wprawia natychmiast w ruch cały skomplikowany system alarmowy. A przecież Skandynawowie znani są ze swej uczciwości. No, tak, ale Sztokholm, Kopenhagę i Oslo zwiedza mnóstwo turystów, hm!

Wyroby z pierwszego tysiąclecia naszej ery odznaczają się nie tylko tym, że są złote, ale przede wszystkim reprezentują niesłychanie wysoki kunszt rzemieślniczy. Bogactwo motywów i poziom wykonania idą zawsze z sobą w parze. Wspaniałe pierścienie błyszczące szlachetnymi kamieniami, opatrzone skomplikowanym łańcuszkiem filigranu wyglądają nie tylko bogato, ale przede wszystkim reprezentują subtelne piękno. Po dokładniejszych oględzinach zdobionych przedmiotów z tzw. okresu „wędrówek ludów" uderza wielka ilość motywów ze świata klasycznego szczególnie zaś bliskowschodnich. Wskazuje to historykom na kierunek dróg handlowych, którymi płynęły impulsy kulturalne. Tak, tak, nie darmo się mawia „ex oriente lux". Jednakże z pełnymi gracji i dostojeństwa zwierzakami czyli figurami z motywów ornamentacyjnych ze wschodniego imperium rzymskiego (Bizancjum) z chwilą kiedy znalazły się one w Skandynawii dzieją się dziwne rzeczy. Lew, pantera czy orzeł we wspaniałych broszach czy bransoletach dostaje gwałtownych konwulsji. Artysta bezlitośnie rozciąga ich ciało, gnie w karkołomnych serpentynach, zaplata na skomplikowane węzły. Efekt końcowy jest jednakże wspaniały. Powstaje pełna ekspresji ornamentyka, która wprawić może najwybredniejszy smak w prawdziwy zachwyt.

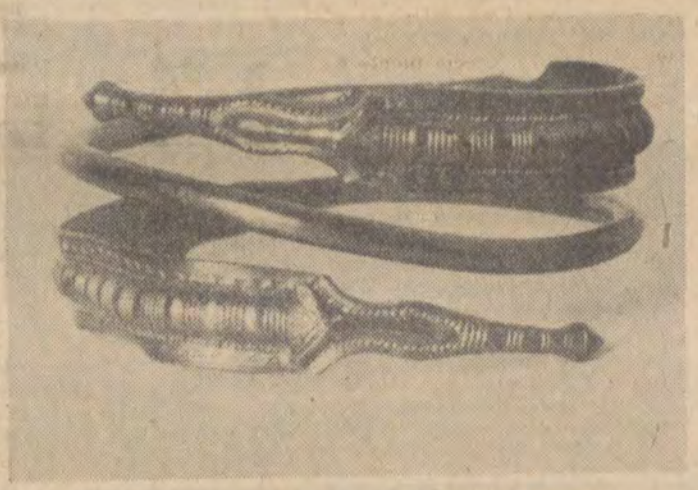

Złota bransoleta z IV wieku Ölandia, Szwecja

Kamień runiczny z ornamentem zwierzęcym z cmentarzyska w Resmo, Ölandia, Szwecja, XI w.

Ale praojcowie dzisiejszych Skandynawów to nie tylko wspaniali kupcy i artyści, ale może przede wszystkim bardzo odważni żeglarze. Osadnictwo ludzkie odstraszane przez niegościnne choć piękne wnętrze półwyspu koncentrowało się na brzegach morza, nad zacisznymi fiordami. Komunikacja między skomplikowaną koronką brzegową oczywiście odbywała się wodą. Morze było najwspanialszym gościńcem. Ono też i niezliczona ilość skał i raf przybrzeżnych stało się surowym ale doskonałym nauczycielem żeglarstwa.

Ścisły związek prehistorycznych mieszkańców Skandynawii z morzem można obserwować już od co najmniej 3.500 lat. Na zachodnim wybrzeżu Szwecji w dzielnicy Bohuslän oraz na południowo-wschodnim wybrzeżu norweskim znaleźć można często na niewysokich, a gładkich skałach rysunki licznych łodzi oraz niewielkie okrągłe zagłębienia. Na podstawie dokładnej analizy stwierdzono, że rysunki te i zagłębienia pochodzą już z epoki brązu, czyli przeszło 3.000 lat wstecz. Oczywiście są i późniejsze. Łodzie, jak można wnosić z rysunków, zmieścić mogły kilkunastu a nawet kilkudziesięciu ludzi. Rysowali je żeglarze wybierając się na morze lub po szczęśliwym powrocie. W zagłębieniach stawiali ofiary bóstwom. Z jakimś rozrzewnieniem patrzę na delikatnie rysujące się w twardej skale łodzie, które kiedyś, tysiąc lat temu, zostały oddane pod opiekę bóstwom.

W okolicy Sandefiord przy Oslofiord, tuż przy malowniczo w serpentyny poskręcanej drodze wznosi się imponujący kurhan, tak zwany „Gokstahovgen". Otóż pod koniec minionego wieku wykopano w tym kurhanie wspaniały grób wikińskiego księcia z IX wieku. Książę pochowany był, jak na żeglarza przystało, w statku wikińskim. Kurhan więc dostarczył nie tylko szkieletu księcia bogato wyposażonego, ale, i to jest najważniejsze, całej doskonale zachowanej łodzi-statku o dług. 18 m. Statek zdolny był do odbywania podróży dalekomorskich. Nie koniec jednak sensacji. Historycy na podstawie sag i napisów runicznych na stelach-pomnikach zdołali ustalić imię księcia, czas w którym żył, przyczynę śmierci (reumatyzm) oraz również to, że książę przy jakiejś tam okazji stracił piętę. Szkielet po dokładnym zbadaniu wykazał schorzenie reumatyczne, a jedna z nóg, mianowicie lewa (tak jak w runach wyczytano) była bez pięty. Musze także dodać, że dokładnie ustalono miejsce, gdzie stało gospodarstwo księcia. Do dziś znajduje się tam pięknie prowadzone gospodarstwo.

Właściciel, bardzo kulturalny gospodarz, ma dokumenty stwierdzające, że posiadłość ta jest w rękach jego rodziny od XVI wieku, dalej danych brak, kto wie, może rozmawiam właśnie z potomkiem księcia Gakstad? Dowody zadziwiającej ciągłości osadnictwa znajdują się na każdym kroku. Oto mijamy cmentarz współczesny, na którym wśród nagrobków wznosi się kurhan z X wieku n.e. Ta zadziwiająca stabilność osadnicza ma oczywiście swe powody, primo w Norwegii jest tak mało uprawnej ziemi, że ludzie od najdawniejszych czasów sadowili się na tych samych miejscach z tego prostego powodu, iż innych dogodnych możliwości w pobliżu nie było, secundo, Skandynawia z racji swego położenia była peryferią ekumeny europejskiej. Wszelkie najazdy, niepokoje, przesiedlenia omijały ten naprawdę szczęśliwy ląd.

Kiedy patrzyłem na bogate, pięknie utrzymane muzea, na niezniszczone kościoły, na zabytkowe domy, na sklepy, których tradycja sięga 300 lat i więcej, stało się dla mnie szczególnie jasne źródło dobrobytu Skandynawów. Nie wymawiając sympatycznym Szwedom, na Polsce też się całkiem nielicho obłowili. Właśnie podziwiałem przepiękne wyroby sztuki złotniczej średniowiecznej i renesansowej w Statens Historiska Museum w Sztokholmie, kiedy uderzyła mnie szczególna zbieżność z polskimi, jakże nielicznie zachowanymi wyrobami z tego czasu. Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że te wspaniałe przedmioty trafiły do Szwecji w XVII wieku z Polski — nie, nie jako dar, jako łup wojenny. Są jednakże i inne ślady naszej łączności, tym razem już naprawdę kulturalnej. W katedrze gotyckiej w Uppsali, niedaleko Sztokholmu, w jednej z kaplic znajduje się imponujący sarkofag Katarzyny Jagiellonki, żony jednego z najpotężniejszych i najmądrzejszych władców szwedzkich, Gustawa I Wazy. Z rozrzewnieniem patrzę na wyryty w złoconym srebrze herb z Orlem i Pogonią, który zdobi renesansowy sarkofag.

Chlubą Skandynawów są muzea na świeżym powietrzu tzw. „skanseny". Olbrzymie zielone połacie wydzielone pod te muzea zapełnione są przez architekturę ludową. Jest w Oslo wyspa „Bgdy" gdzie zobaczyć można właściwie prawie wszystkie przejawy życia kulturalnego Norwegii w czasie i przestrzeni. Tzw. „Volke museet" czyli muzeum ludowe zajmuje znaczną część lesistej i skalistej wyspy Bgdy. Jak w kalejdoskopie zmieniają się tu widoki. Właśnie mijam młyn wodny wraz z domem mieszkalnym i małym obejściem gospodarczym z Aust-Agder na południu Norwegii, za chwilę wkraczam w dolinę Setesdal z jej malowniczym budownictwem, malarstwem, strojami. Wszystkie dzielnice Norwegii są tu reprezentowane. Budownictwo ludowe można tu obserwować od XIII wieku, dom mieszkalny drewniany z XIII wieku! Jestem oszołomiony. Wnętrza izb wyposażone w komplety mebli charakterystycznych dla dawnej epoki i regionu. Wszystko to zostało przywiezione z najdalszych południowych i północnych krańców Norwegii.

Życie gospodarcze zmienia w szybkim tempie styl i architekturę. Historia rozwoju gospodarki i wszelkich przejawów kultury zamknięta jednak została we wspaniałych skansenach. Oby tak u nas takie obiekty powstały.

O jednym jeszcze efekcie norweskim należy powiedzieć. Są to urocze drewniane kościółki z wczesnego średniowiecza. Nie można oprzeć się zaskakującej analogii tych budowli z greckimi świątyniami, oczywiście tylko w pomyśle, nie w stylu. Budowla taka jest zupełnie bez okien, światło wpada tylko przez drzwi wejściowe, bardzo słabo sączy się hen wysoko przez wąskie szczeliny wietrzników. Wewnątrz wiec panuje zupełna ciemność. Dopiero po chwili przyzwyczaja się wzrok i wtedy obserwować można na bierwionach liczne napisy runiczne i rysunki oraz jakże bogatą snycerkę, szczególnie wspaniale ornamentowane są odrzwia. Dokoła głównego trzonu świątyni już na zewnątrz, obiega ganek arkadowy. Zupełnie jak w świątyni greckiej. Przychodzi też na myśl mroczny megaron Homera. Rodowód tych świątyń nie leży oczywiście tak daleko na południu. Są one najprawdopodobniej kontynuacją pogańskich świątyń skandynawskich. Słowiańskie świątynie były również we wnętrzu mroczne, tak zresztą jak i ówczesne skandynawskie i słowiańskie domy mieszkalne. Analiza podobieństw świątyń pogańskich i niektórych wczesnochrześcijańskich na północy Europy z budownictwem świeckim, ukazuje jak w zasadzie bliski i ludzki był świat bóstw ówczesnych ludzi. Dopiero kościół chrześcijański wprowadził głęboki podział przez swe monumentalne budownictwo i przede wszystkim przez swą ideologię obcą i niezrozumiałą, wyższą ponad ówczesnych ludzi.

Dokończenie ze str. 1

i społecznym potrzebom dużej ilości jego mieszkańców. W konsekwencjach stawiano przed urbanistami żądania, aby ludzkie potrzeby i społeczne wartości uczynić centralnym problemem wszelkich poczynań zmierzających do planowego rozwoju miast. Miasto winno rozwijać się organicznie i harmonijnie i zapewniać zarówno na płaszczyźnie materialnej jak i duchowej zdrowie i wolność jednostce i optymalne warunki poczynaniom zbiorowym.

Przytoczone powyżej opinie o mankamentach współczesnego miasta jak również „pobożne życzenia" co do właściwego ich uregulowania mogły znaleźć pełne zastosowanie do naszej Łodzi. Dopiero po wojnie powstały ogólne warunki społeczno-polityczne do tego, aby przezwyciężyć zły czar ciążący nad „Kopciuszkiem"

BOGACTWO PROBLEMÓW

Musimy zdać sobie sprawę, że wielki przełom, jaki nastąpił w Polsce przed szesnastu laty, nie rozwiązał automatycznie w naszym mieście problemów wynikających z upośledzeń i krzywd społecznych i kulturalnych — smutnego dziedzictwa przeszłości. Można powiedzieć, że problemy te dopiero wtedy zostały w całym ich „bogactwie" wyciągnięte na światło dzienne. Mało tego. Nowe korzystne warunki rozwoju przyniosły nowe, nieaktualne dotychczas czy nieznane na gruncie łódzkim problemy, wymagające często natychmiastowych, siła rzeczy choćby prowizorycznych, nie pełnych rozwiązań.

Nie zatrzymując się nad przejściowym okresem kilku lat powojennych, kiedy Łódź w pewnej mierze zastępowała zniszczoną wówczas stolicę, należy sobie przypomnieć ile nowych funkcji, ile nowych instytucji zostało w tym okresie do życia powołanych w Łodzi. Wyższe uczelnie, instytuty i zakłady naukowe, centralne instytucje administracyjne przemysłu, szereg placówek kulturalnych i oświatowych itd. itd... Dodajmy do tego ogromne przemieszczenia ludności, jakie odbywały się w latach wojny i bezpośrednio po wojnie, wyniszczenie zasobów mieszkaniowych gwałtowny przyrost naturalny ludności, inkorporację olbrzymich terenów podłódzkich do obszaru administracyjnego miasta a uzyskujemy, oczywiście jeszcze bardzo niepełny, obraz nowych problemów gospodarki miejskiej powojennej Łodzi.

Ulica Piotrkowska

Leczenie „Kopciuszka"

OPINIE URBANISTY I...

Wybitny polski urbanista Teodor Toeplitz pisał przed wojną o zadaniach urbanistów: *„Mało kto... zdawał sobie sprawę jak głęboko w życiu każdego mieszkańca miasta wnikać mogą skutki dobrego czy złego planu regulacyjnego, jak ważnym jest, by każdy zajmujący się sprawami komunalnymi prawdę tę zrozumiał". „Cegła i wapno* — pisał Toeplitz — *to są także kategorie etyki. Istnieje ścisła współzależność pomiędzy moralnością a sumą wybudowanych rocznie metrów sześciennych budynków".*

Można by przytaczać wiele jeszcze zdań i opinii charakterystycznych dla postępowej myśli urbanistycznej, wskazujących, że dla współczesnego urbanisty miasto i jego pożądany rozwój nie jest już tylko problemem technicznym lecz także problemem socjologicznym.

SOCJOLOGA...

Stanisław Rychliński jeden z tragicznie zmarłych w czasie wojny socjologów polskich w następujący sposób określił związki socjologii z urbanistyką: *U podstaw polityki urbanistycznej leży polityka społeczna, a głównym jej celem jest przystosowanie przestrzennego środowiska miasta do zdrowotnych, kulturalnych i społecznych potrzeb mieszkańców. Każde podstawowe rozwiązanie urbanistyczne winno być oceniane z punktu widzenia kulturalnych i społecznych konsekwencji.* Tak więc teoretycznej i praktycznej działalności urbanistów powinna towarzyszyć poznawcza działalność socjologów, mająca na celu analizę społecznych skutków urbanistycznych rozwiązań.

Od tych ogólnych rozważań przenieśmy się jednak na teren naszych łódzkich spraw miejskich. Przed dwoma laty zostały ukończone urbanistyczne plany zagospodarowania przestrzennego naszego miasta. W końcowej fazie ustalania planów urbaniści nawiązali współpracę z łódzkim ośrodkiem socjologicznym. Poza opiniami o przygotowanych planach urbaniści zgłosili zapotrzebowanie na systematyczne badania socjologiczne, których wyniki stanowiłyby jedną z podstaw racjonalnej realizacji przestrzennego i instytucjonalnego rozwoju Łodzi zgodnie z urbanistycznymi założeniami określonymi w planach.

TRZY KIERUNKI BADAŃ

Podjęte przed dwoma laty prace socjologiczne ruszyły prawie równolegle w trzech kierunkach. PRZEDE WSZYSTKIM podjęto badania w nowych osiedlach mieszkaniowych. Celem tych badań było uzyskanie informacji, w jakim zakresie i w jakim stopniu mieszkania w nowych osiedlach zaspokajają, ogólnie biorąc, potrzeby życiowe mieszkańców. Uzyskany usystematyzowany rejestr zaspokojonych i niezaspokojonych potrzeb życiowych związanych z mieszkaniem w ścisłym tego słowa znaczeniu i z zamieszkaniem w określonej części miasta dostarczył szeregu uwag i wniosków, które posiadają wartość zarówno dla architektów projektujących nowe mieszkania i budynki, jak i dla urbanistów planujących wyposażenie, oraz urządzenie całości osiedli i dzielnic.

DRUGI KIERUNEK badań dotyczy Łodzi jako całości. Celem tych prac jest ustalenie aktualnego stanu struktury społeczno-przestrzennej naszego miasta. A więc podziału całego obszaru Łodzi na strefy wyróżniające się funkcjami i charakterem, na dzielnice naturalne posiadające odrębne cechy charakterystyczne i przeważnie wymagające odmiennych prac regulacyjnych. Ponadto badania te mają na celu ukazanie na tle przestrzeni całego miasta niektórych niepokojących zjawisk społecznych jak na przykład z zakresu zdrowia czy przestępczości.

Ogólnie można by powiedzieć, używając porównania z zakresu medycyny, że badania te mają zadania diagnostyczne. Zdając sobie ogólnie sprawę z niedomagań organizmu miejskiego, socjologiczna analiza ma na celu wskazanie najbardziej schorzałych czy zagrożonych elementów tego organizmu, którym terapia w postaci realizacji planów urbanistycznych powinna przynieść pomoc.

Z wyników tych badań wypłynąć mają nie tylko wskazania konkretnych problemów niedomagań życia miejskiego, ale także sugestie co do kolejności a raczej pilności poszczególnych urbanistycznych rozwiązań. (O niektórych zagadnieniach wchodzących do tego działu prac socjologicznych wspomniałem w poprzednim artykule).

TRZECI DZIAŁ opracowań socjologicznych poświęcony jest bezpośrednio nie samej Łodzi, lecz obszarom okalającym nasze miasto. Są to prace, zmierzające do ustalenia przestrzennego zasięgu tak zwanej „strefy podmiejskiej" i jej społecznej charakterystyki. Zagadnienia strefy podmiejskiej każdego wielkiego miasta leżą zawsze w orbicie jego najbardziej żywotnych zainteresowań. Strefa podmiejska odpowiednio wykształcona — do czego zmierzają także prace urbanistów — jest jakby rozszerzeniem obszarów samego miasta, stanowiąc jego „podręczny magazyn" żywnościowy i przemysłowy, zaplecze mieszkaniowe, miejsce świątecznego wypoczynku dla mieszkańców miasta, teren lokalizacji niezbędnych dla miasta urządzeń, których obecność na terenie zwartej miejskiej zabudowy jest niepożądana itd. itd.

W „CZOŁÓWCE"

Z przytoczonych powyżej informacji wynika, że zetknięcie się urbanistyki z socjologią, czy jak kto woli współpracy urbanistów z socjologami, nastąpiło na gruncie naszych łódzkich problemów i potrzeb na dość szerokiem froncie. Bez fałszywej skromności należy dodać, że w tym zakresie Łódź wyprzedziła znacznie inne wielkie miasta Polski. Miejmy nadzieję, że między innymi wyniki tej współpracy przyczynią się do tego, że Łódź wyprzedzi inne miasta w zakresie konkretnych rozwiązań dzisiejszych mankamentów życia wielkomiejskiego i skutecznie zabezpieczać będzie swoich mieszkańców przed wielkomiejskimi kłopotami, jakie może przynieść dzień jutrzejszy.

WACŁAW PIOTROWSKI

Dokończenie ze str. 1

„Chociaż co niedzielę
kanclerz mowę trzyma,
Nawet Göringowi mocno
zrzedła mina..."

Drwiący ton piosenki dzwoni w uszach pana doktora.

Trzecia Rzesza jest rozgrzanym kotłem. Jeśli NSDAP nie uda się wykorzystać tej wrzącej w kotle pary dla napędu machiny wojennej, może nastąpić wybuch.

Pan doktór jest prawnikiem — umie myśleć logicznie. Rozgrywka między Canarisem i Heydrichem jest niepożądana. Sporo kłopotów narobiła afera z Röhmem. Trzeba koniecznie przekonać marynarza.

— Może użyjemy, panie kapitanie, porównania z prawem morskim. Wody przybrzeżne mają zasięg trzech mil. Poza ich granicami każdy robi to, co mu się żywnie podoba. Zapewne lepiej ode mnie wie pan jak powstał ten pas trzymilowy. Po prostu był to wówczas maksymalny zasięg artylerii nadbrzeżnej. A teraz sięgnijmy do suwerenności powietrznej. Specjaliści prawa międzynarodowego nie ustalili przecież do jakiej wysokości sięga suwerenność. Artyleria przeciwlotnicza dosięga cele do wysokości 9 kilometrów, a nasze aparaty W-24 wznoszą się przecież znacznie wyżej...

Kłopotliwe milczenie dokuczyło Canarisowi. Sięga po model krążownika „Dresden", na którym walczył pod Coronelem i Falklandami.

— 9 marca 1915 roku — mówi cicho — „Dresden" zakotwiczył się na wodach terytorialnych Chile. Brak węgla unieruchomił krążownik, a czyhał na nas górujący siłą ognia krążownik brytyjski „Glasgow". Brytyjczycy otworzyli ogień: Udałem się do nich jako parlamentariusz, ostrzegając, że stoimy na wodach Chile. Usłyszałem odpowiedź kapitana brytyjskiego" „Mam rozkaz zatopienia „Dresden", obojętne gdzie go spotkam". Konsekwencje rozstrzygną dyplomaci Wielkiej Brytanii i Chile". Musieliśmy zatopić okręt. Niekiedy, moi panowie, trzeba się uczyć od wrogów.

— Oczywiście — zawołał z zadowoleniem Willberg — wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia.

* * *

Dziś już wiemy że nie tylko Niemcy korzystały z usług wywiadu powietrznego. W 1939 roku Amerykanie „przyjrzeli" się dokładnie terytorialnym wodom japońskim pod pretekstem zaginionej lotniczki. Japończycy zaś penetrowali nad Filipinami, Guam i Hawajami. Loty wywiadowcze pozorowano poszukiwaniem ofiar katastrof morskich i powietrznych. Żadne jednak państwo w latach trzydziestych nie gwałciło tak systematycznie suwerenności samych krajów jak Niemcy Canarisa, von Solma, Willberga i potentatów przemysłowych.

Między 1935 i 1939 rokiem piąty oddział niemieckiego sztabu lotniczego miał opracowane zdjęcia obiektów państw sąsiednich: centralnym ośrodkiem niemieckiego szpiegostwa powietrznego były lotniska — Tempelhof, Staaken i Oranienburg. Göring zgromadził u siebie zdjęcia i szczegółowe opisy brytyjskich stoczni, polskich mostów, łotewskich portów, bunkrów linii Maginota, belgijskich fortów, norweskich baterii nadbrzeżnych i holenderskich zbiorników paliwa. **„Rozpoznanie lotnicze było planową pracą sztabu generalnego i nic miało nic wspólnego z agresją"** — zapewnia na 424 stronie swej książki o II wojnie światowej, zachodnioniemiecki „historyk", Gürlitz.

Informacje wywiadu powietrznego zapewniły Göringowi znaczną przewagę nad konkurencyjnymi Heydricha. Dostarczycielami tego cennego materiału było zaledwie 12 maszyn. Wywiad pracował pod płaszczykiem przedsiębiorstwa cywilnego „Hansa-Luftbild". Od 1926 roku przedsiębiorstwo zostało zarejestrowane jako siostrzane towarzystwo „Lufthansy". Oficjalna działalność firmy obejmowała dokonywanie zdjęć dla celów topograficznych i handlowych, np. pięknych widokówek przedstawiających na błyszczącym papierze niemieckie zabytki i krajobraz „z lotu ptaka".

Personel latający towarzystwa składał się z samych asów. Do nich należeli, między innymi, kapitan Kneemeier, wynalazca przyrządu obliczającego kurs, hrabia Hoensbroech i hrabia Saurma. Szefem eskadry wywiadowczej został Rowehl, pilot z pierwszej wojny światowej, właściciel majątku w Oldenburgu. W wewnętrznym użytku służbowym eskadra nosiła nazwę „Eskadry ministra lotnictwa".

Obok maszyn Rowehla samoloty towarzystwa „Hansa Luftbild" prowadziły swoją normalną pracę. Zasłona firmy była idealna, ale 1 września 1939 roku nie ma już potrzeby konspiracji. W ciągu jednej nocy jednostka Rowehla staje się oficjalnie „Grupą wywiadowczą dowódcy lotnictwa" ze sztabem w Oranienburgu. W szybkim tempie jednostka powiększa się do siły 36 maszyn. W-34 zamieniono na Ju-86, które mają zasięg lotu 1300 km, a pułap 13 tysięcy metrów. Po zwycięstwie nad Francją piloci Rowehla osiągają szczyt chwały. Poza wywiadem wojskowym wypełniają również „specjalne misje" w państwach neutralnych. Zdjęcia z lotów dostarczane są specjalnymi samolotami kurierskimi do Oranienburga. Tylko Rowehl ma prawo wykonywania kopii z taśm filmowych.

* * *

Lotnisko Paryż-Orly, luty 1941 roku.

Na pasie startowym czarna jak smoła maszyna dwusilnikowa bez odznak państwowych. Do samolotu zbliża się dwudziestotrzyletni porucznik Wilms. Niesie list dla kolegi spodziewającego się w tych dniach powiększenia rodziny. Chłopiec czy dziewczynka?...

Głucho pracują silniki. Aparat, zaopatrzony w specjalne silniki Daimler Benz 601-N pracuje tylko na wysokooktanowym paliwie.

Gęsta mgła i zmrok okrywają lotnisko.

MŁODOŚCI, GDZIEŻEŚ SKRZYDEŁKA PODZIAŁA?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

rodzina. Czy zmiany te umożliwią rodzinie wychowywanie dzieci w stopniu szerszym niż dotąd?

Zmienią się warunki, na korzyść. Poprawa nastąpi przede wszystkim w naturalnym i najbliższym środowisku rodziny, będzie więcej nowoczesnych, w pełni wyposażonych mieszkań, „wokół tej sprawy krąży wiele mitów, że niby władze chwalą się, a ciasnota trwa. Dzieci nie przywiązują się do domu rodzinnego, szkoły nie prowadzą zajęć pozalekcyjnych, bo ciasnota, ktubów mało, świetlic mało, nie ma miejsca dla dzieci i młodzieży.

Prawdą a bogiem, nie było się czym chwalić. W latach 1945-59 zbudowano w Łodzi 57.800 izb mieszkalnych, ale równocześnie wyburzono 25.700. Zostało więc 32.100 izb „czystego zysku". Jak na 14 lat nie tak znowu imponująco. Ale to, co obserwujemy w ostatnim czasie jest, i owszem, optymistyczne. Do roku 1965 Łódź zarejestruje 85.000 nowych izb. Jeżeli dodać rozbudowę sieci wodociągów i kanalizacji, urządzeń socjalno-bytowych, komunikacji i usług — warunki życiowe rodziny łódzkiej zmienią się na lepsze. Bo to jest tak — gdzieś wysoko, w odpowiedniej placówce, wymyślają bardzo mądrzy ludzie rozmaite teorie pedagogiczne, ustalają na jakim jesteśmy etapie, a tam na dole, na Chojnach, moi państwo, albo na Widzewie — kobieta po nocnej pracy nosi wodę, wiesza w ciasnym mieszkaniu parującą bieliznę, wystaje w kolejkach, bywa i męża szuka, który wyskoczył tylko na róg po papierosy, ale ma zamiar do białego rana omawiać sytuację międzynarodową w knajpie.

Czynnik materialnych warunków życiowych bardzo rozstrzyga o tym, czy piękne myśli o wychowaniu sięgną bruku. Ten czynnik oszczędza siły i wyzwala czas, to są krany w łazience, gaz, centralne ogrzewanie, pralnia, wygodna komunikacja, gęsta sieć dobrze zaopatrzonych sklepów.

Ale trudno tu być wielkim optymistą, raczej takim „średnio na jeża". Ostatecznie prędzej bogacz przejdzie przez ucho igielne, niż nasi niektórzy specjaliści od handlu zrozumieją, że Łódź nie jest jednak Garwolinem i musi mieć szereg wszechstronnie rozwiniętych centrów handlowych, a nie tylko jedno, śródmiejskie.

Trudno też o hura-optymizm w sprawie bardzo rozstrzygającej o możliwościach wychowawczych kobiety — robotnicy. Ale, chociaż zasadnicze rozwiązanie nie nastąpi jeszcze prędko, rysuje się przecież możliwość powolnej, stopniowej likwidacji tzw. trzeciej zmiany. Najpierw ograniczenie pracy nocnej do soboty. Pozwoli to na rozwój produkcji, matka wróci do domu. Powróci zresztą i z innego powodu.

Prowizoryczny bilans siły roboczej naszego miasta w latach 1961—65 pozwala sądzić, że zwolnienia z przemysłu lekkiego dotyczyć będą w 80 procentach kobiet. Równocześnie 65 proc. nowych miejsc pracy obejmą mężczyźni, bo to będzie przemysł metalowy i budownictwo. Proszę się nie martwić, to tylko z pozoru wygląda na tragedię. Prawdą jest, że kilkanaście tysięcy kobiet może pozostać bez pracy, chodzi jednak o to, by tylko zmieniło pracę. Jeżeli będziemy energicznie rozwijać wątłą przecież w naszym mieście sieć usług, jeżeli będziemy śmiało angażować płeć piękną na półetatach, zwłaszcza w handlu, kobieta, — jak powiedział pewien działacz powiatowy — zostanie prawidłowo ustawiona do życia. A dla nas oznaczać będzie jej zwiększenie możliwości oddziaływania wychowawczego na dzieci.

KSIĄDZ PANA WINI, PAN KSIĘDZA...

Interesujemy się rodziną jako środowiskiem wychowawczym. No, ale tego zagadnienia w żaden sposób nie da się oderwać od reszty środowisk wychowujących. Miły boże, któż u nas nie wychowuje dzieci i młodzieży! Szkoła, rodzina, harcerstwo, ZMS, TPD, młodzieżowe domy kultury, kluby, zrzeszenia sportowe, LPŻ, poradnie, prasa, radio, telewizja, sądy dla nieletnich, milicja, ach dajmy pokój tej „wyliczance". Instytucji jak grzybów po deszczu a z rezultatami bywa często kiepsko.

Pewnie, dlatego, że te grzyby po deszczu źle pracują, a jeśli pracują dobrze, to jak Zosie-samosie, każda sobie drobi we własnym ogródku. Brak silnego, zwartego i ofensywnego frontu instytucji wychowujących. Brak w miarę możności jednolitej koncepcji oddziaływania wychowawczego w skali całego miasta. I odpowiedzialności brak.

Powiedzmy sobie dla przykładu, że pewien niegrzeczny chłopiec zeszedł z dobrej drogi. Od razu zaczną nim podrzucać jak piłką. Ojciec powie, że dzisiaj mamy marne szkoły, szkoła powie przeciwnie — ojca guzik obchodzi wychowanie dziecka. Ktoś doda, że organizacje młodzieżowe wcale nie umieją dotrzeć do młodzieży, milicjant zatrzyma, ale musi puścić, poradnia poradzi, sąd wyda wyrok, a miejsca w zakładzie wychowawczym nie będzie. Ksiądz pana winni, pan księdza.

Lecz i w tym zakresie sytuacja zmienia się powoli na lepsze. W Łodzi powstała Rada do Spraw Wychowania Dzieci i Młodzieży. Kilkanaście osób, zamiłowanych pedagogów, będzie się starać zestrzelić wysiłki wszystkich instytucji wychowawczych w jedno ognisko. Na wołowej skórze nie dałoby się spisać postulatów, jakie już padły pod adresem Rady. Zapewne powinna ona spowodować władze do wydania szeregu zarządzeń. W dziedzinie gastronomii trzeba zaprowadzić porządek. Dzieci do lat 16 nie powinny wysiadywać w kawiarniach, a tym bardziej w restauracjach bez opieki dorosłych. Nie jestem też pewien, czy to właśnie nasze dzieci powinny pomagać w wykonaniu planu spożycia wódki i wina. Rozumiem, wszystkie większe restauracje miasta Łodzi są deficytowe, ale czy to znaczy, że młodzież ma pracować na chwałę gastronomików? I sprawę uczestnictwa w autostopie trzeba prawnie uregulować i określić zakres odpowiedzialności rodziców za przestępczość młodzieży i regulamin ucznia opracować i walczyć o rozwój zakładów wychowawczych, bo tu jest duży skandal, o nowe boiska, sale klubowe dla młodzieży...

CZY TRAFIMY W MALEŃKI KRĄŻEK ŚWIATA?

Najpierw — cóż to jest takiego ów maleńki krążek świata? Krąg sąsiedzki, grupy rodzinne z dużego bloku, z kilku bloków mieszkalnych czworoboku uliczek, powiązane rozlicznymi interesami. Jak to ludzie, hodują sobie wspólnie „kaninchy", podkradają gołębie, pożyczają sobie pralki, albo wspólnie je użytkują, odwiedzają się na urodziny, chrzciny, wesela, imieniny i pogrzeby, biegają do tej samej apteki, klną u tego samego rzeźnika, patrzą na ten sam ekran kinowy, zakładają wspólnie kwietniki, sadzą drzewka, żeby w dzielnicy ładniej było. Naturalna, często niewielka grupa, bezpośrednie zaplecze sąsiedzkie każdej rodziny, zupełnie nie wykorzystane jako środowisko wychowawcze.

Myślę, po prostu, że rodzina jest w swojej działalności wychowawczej w dużej mierze odosobniona. Boć przecie instytucje, o których wspominałem, działają w tym maleńkim krążku świata, raczej od wielkiego dzwonu. Co gorsza — alarmowego dzwonu. Jak dziecko kradnie — pojawia się milicjant, po nim kurator społeczny, czy opiekun. Jeżeli tatuś „zaleje pałę" raz, drugi, i setny, pojawi się w małym światku rodzin odpowiednia poradnia, rzadziej nauczyciel. Po biją się rodzice — przybędzie ktoś ze „zdrowia psychicznego" i na pewno sąd. Ale rozłoży ręce, któż da tak łatwo osobne mieszkania kłótliwym rodzicom? A dzień powszedni, z takich dni składa się przecież życie, kto działa systematycznie w dzień powszedni?

Tak dzieje się zawsze, ilekroć wychowanie ma charakter instytucjonalny i nie jest sprawą każdego obywatela. Chodzi mi więc o ruch obywatelski, społeczny ruch rodziców, zmierzający do poprawy sytuacji wychowawczej. Jak taki ruch wywołać?

Każdy taki maleńki krążek świata posiada szkołę, radę narodową, świetlicę, może klub, salę kinową, w każdym razie jakieś większe pomieszczenie, gdzie mogliby się spotykać rodzice. Dzielnicowy MO, kurator społeczny, nauczyciel, powinni każdy ze swojego punktu widzenia, omawiać raz w miesiącu sytuację wychowawczą rejonu. Dyskusja, wymiana poglądów, doświadczenie jednych, wstyd i ambicja drugich — wszystko przy takich okazjach może dojść do głosu i wytworzyć zdrową, czujną opinię społeczną, samokontrolę, wzajemna krytykę i pomoc. A to będzie już codzienna, stała instytucja wychowująca, przeciwwaga dla nie kontrolowanej, kuchennej pedagogiki. Łodzianie chętnie podejmują wspólne akcje obywatelskie, za to między innymi otrzymali Order Budowniczego PRL. Myślę, że i w zakresie wychowania dzieci nie będzie inaczej.

Przyznam się, że nie rozumiem programu oświaty dla dorosłych, a zwłaszcza kobiet. Czemu zmęczonym ludziom pakuje się do głów dziecięcy, infantylny program nauczania? Starsi nie porzucą pracy, nie zapiszą się „na studentów". Dlatego unikają tego rodzaju oświaty, który w żaden sposób nie wiąże się z ich najbardziej palącą problematyką codziennego życia. Gdyby nasycić ten typ oświaty treściami wychowawczymi, uczyć obok normalnych przedmiotów, technik wychowawczych, sytuacja zmieniłaby się na lepsze, maleńki krążek świata zyskałby poznanie naukowe, niezbędne przy wychowaniu.

MŁODOŚCI, GDZIEŻEŚ SKRZYDEŁKA PODZIAŁA?

Bóg sprzyja Polakom, czego jak czego, ale dzieci u nas nie brak. Ta radosna twórczość rodziców powoduje tak zwane w nauce wyże demograficzne. Ów właśnie wyż wyraża się w takich liczbach: w roku 1959 mieliśmy 581,8 tys. młodzieży w wieku lat 14 — 17, nie uczącej się i nie pracującej, w roku 1965 będzie jej 879,7 tys., a więc blisko milion.

Gdzież się podzieją te setki tysięcy młodych ludzi? Zostana w domu, jako istotny element rodziny. Część, miejmy nadzieję, dokształci się jakoś, zahaczy w fabryce, a reszta?

Chodzić mi będzie teraz o wykazanie konieczności wychowania młodzieży przez młodzież i to w kręgu maleńkiego, naturalnego świata kilku ulic, czy dzielnicy. Dotychczasowa praktyka nie nastraja różowo. Na 80.000 młodzieży w odpowiednim wieku tylko 8 tys. należy do ZHP, jeśli chodzi o ZMS proporcje są raczej gorsze. Czy młodzież wytworzyła sobie jakiś swój własny ruch samowychowawczy? Owszem, ale raczej antywychowawczy. W okresie autostopu przestępczość wzrosła o 300 procent — podaje gdańska Komenda MO. Państwo chyba słyszeli o tych miejscach tajemnych, gdzie właściciele samochodów przystawali, aby zabrać dziewczęta zakochane w urokach polskiego pejzażu na nocleg, o miejscach wymiany partnerek, z którymi wychodzi się na „dziki szlak".

Nie o taki ruch młodych chodzi. Rozumiem trudności, wiem jak dalece przetłoczone są nasze szkoły, wiem, że brak kąta dla organizacji młodzieżowych, brak świetlic, sal, ale to przecież nie zamyka jeszcze drogi do małego krążka świata, podwórka, bramy, ulicy, knajpy, pustego placu na przedmieściu, gdzie marnotrawi czas wielu młodych ludzi. Czas najwyższy na coś w rodzaju pospolitego ruszenia, albo lepiej — patronaty zorganizowanych grup młodzieżowych nad poszczególnymi rejonami. Szczególnie zaś nad rejonami ,gdzie równowaga rodziny jest, niestety, zachwiana — ojczulkowie piją, łajdacza się, gdzie ptaki niebieskie, prostytutki, bezrobotni z własnymi willami urządzają polowania. Piękne pole do działalności ZHP, ZMS, a i dla naszych studentów, którzy przecież będą niebawem pracować w szkołach i wychowywać. Można otwierać tu i ówdzie boiska sportowe, skupiać przy szkolnych organizacjach młodocianych obiboków, organizować wycieczki, imprezy rozmaitego rodzaju, zawody pomiędzy ulicami raz strzeleckie, czy piłkarskie, a raz zawody, podczas których przeciwnicy będą musieli pokazać, że coś czytają i wiedzą coś o świecie.

Jeżeli młodzież zorganizowana odnajdzie już wreszcie skrzydełka, a zgubiła je na pewno, wykaże więcej zapału i pomysłowości w pracy społeczno - wychowawczej, zajmie się młodą częścią rodziny, ruszy na podbój maleńkich światów, zyska z pewnością wielką wdzięczność rodziców.

Koniec na razie. Będziemy jeszcze niejedno proponować, co może dopomóc łódzkiej rodzinie w pracy wychowawczej. Niechże jednak przed nami zabiorą głos bezpośrednio zainteresowani.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

— Stój — rozlega się nagle okrzyk...

Wilms słyszy wyraźnie, że wartownik odbezpiecza karabin. Czyżby zapomniał hasło? Nie może dostrzec wartownika. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że czarna maszyna jest pilnie strzeżona dniem i nocą. Jest to Dornier-215, samolot, który od jesieni uzupełnia park lotniczy grupy wywiadowczej. Należy do 1 eskadry porucznika Kneemeiera, starego wygi Lufthansy... Odpowiada wreszcie na wezwanie hasłem: „Coventry" i dodaje ze złością: „Odczep się, durniu".

W tym momencie mija go bezszelestnie wytworna limuzyna z zasłoniętymi szybami. Samochód zatrzymuje się tuż przy samolocie. Dwu pasażerów samochodu wchodzi do tylnej części samolotu, gdzie mieszczą się zazwyczaj aparaty do zdjęć. Samolot wznosi się w górę. Znika w ciemnościach limuzyna.

— Tak — stwierdza Wilms — to agenci spadochronowi. Kneemeier zrzuci ich nad północną Anglią.

Wiedrich Wilms wraca do kwatery. Przed tygodniem sfilmował Irlandię. Lot nad Irlandią jest zupełnie bezpieczny. Za każdym razem zbliżał się do wyspy, szerokim łukiem od zachodu, aby uniknąć spotkania z myśliwcami brytyjskimi. „Spitfire" wznosi się wyżej od Do-215, jest szybszy i uzbrojony w cztery karabiny maszynowe lub dwa działka 20 mm. W bitwie nad Anglią Luftwaffe poniosła ciężkie straty. Od listopada 1940 roku nie może już samolot wywiadowczy pokazać się w ciągu dnia nad Londynem. Göring zaopatrzył eskadrę Rowehla w pięćdziesięciokilogramowe bomby magnezjowe z zapalnikami czasowymi, aby choć w nocy dokonywano zdjęć migawkowych. Niestety, zdjęcia są za mało ostre... Irlandia zaś jest słaba i neutralna. Słowem — lot bez specjalnych emocji.

Porucznik Wilms jest nadreńczykiem. Jako 17-letni młodzieniec uratował na plaży na wyspie Berkum troje dzieci od utonięcia. W nagrodę otrzymał nie tylko zwykły medal za ratowanie tonących. Ojcem uratowanych dzieci był radca w ministerstwie spraw zagranicznych i główny tłumacz Führera... Diedrich Wilms jest w ostatniej klasie liceum. Trzeba się zdecydować na wybór zawodu. Ojciec, stary socjaldemokrata, zdaje sobie sprawę, że Hitler dąży do wojny. Aby więc syna uratować przed Wehrmachtem, radzi mu wstąpić do lotnictwa cywilnego. Lufthansa reklamuje od służby wojskowej. Diedrich zostaje pilotem i produkuje pocztówki „z lotu ptaka"... Po wybuchu wojny zostaje wcielony do Luftwaffe.

Wilms zdaje sobie sprawę, że przelot nad państwami neutralnymi jet pogwałceniem prawa międzynarodowego, lecz w szkole wojskowej wyjaśniono krótko „wszystko dla Niemiec". Młodzi lotnicy nie zdają sobie sprawy, jaki ma cel wojna, dla kogo, dla jakiej małej kliki narażają swe młode życie. A we Francji żyją jak bogowie. Przed kilkoma dniami hrabia Saurma wysłał specjalny samolot do Brukseli po cygara Henry-Clay. Pan hrabia nie umie palić cygara niższego gatunku.

Z kantyny rozlegają się dźwięki płyt gramofonowych. Dziś słychać tylko same marsze. Jest to znak, że wśród gości kasyna znajduje się major Prager.

Major Prager jest fanatykiem Führera — nawet sentymentalne melodie muszą być niemieckie. Major Prager wszystko widzi i słyszy. Toteż nawet stare wygi ustępują z drogi świeżo upieczonemu majorowi i lotnikowi.

— Poruczniku Wilms — zwrócił się w kantynie Prager jowalnie do młodego oficera — jest pan dzieckiem szczęścia. Pański klucz odlatuje na słoneczne południe.

W drodze do kwatery spotyka Wilms pozostałych dwu komendantów ze swojego klucza — poruczników Marquardta i Gandera. Po co i dokąd jutro odlecą, nie wiedzą.

O świcie stoi Wilms przed swym Do-215 i dozoruje tankowanie. Podobnie jak maszyna Kneemeiera i jego samolot nie nosi odznak, jedynie numer L2-OS. Załogę samolotu stanowi czterech ludzi: pilot, który najczęściej nie jest oficerem, mechanik, obserwator i on komendant. Wesoło pogwizdując wstawia Wilms do tylnej kabiny dwie skrzyneczki Hennessy. Podaje rozkaz pilotowi: „Kurs 95, kierunek Monachium".

Monachium jest tylko przystankiem. Tu otrzymują zalakowaną kopertę, którą dowódca klucza, Marquardt, może otworzyć dopiero w obecności attache lotniczego w Rzymie. Wiosna wita ich w wiecznym mieście. Marquardt udaje się natychmiast do ambasady przy Via Conte Rosso. Attache, generał von Pohl, otwiera kopertę, rozkazuje zapoznać się z treścią pisma i następnie pali dokument w obecności Marquardta.

c.d.n.

Wedl. NBJ.

opr. J. JANUSZEWSKI

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

SŁOWO a rzeczywistość

O nieprzystawianiu słów do rzeczywistości wiedzą najlepiej publicyści i poeci. Najmniej naukowcy. Ale naukowcy operują nie słowami, lecz faktami, wzorami umownych znaków, układem równań i formułami matematycznymi. Powie kto, że przedstawiciele nauk humanistycznych, jak filolodzy, filozofowie, historycy, posługują się wyłącznie słowami. Owszem, ale są to słowa i układy słów każdorazowo sprawdzane w swej treści i znaczeniu w przeciwieństwie do słów i ich dowolnych kombinacji, których używają, a często nadużywają zależnie od doraźnych potrzeb i okoliczności różni i rozmaitego autoramentu publicyści i literaci.

U literatów jednak ta dowolna kombinacja słów wchodzi w zakres ich sztuki, obowiązkowego niejako zadania, którego celem jest stworzenie sugestywnej wizji czy nawet fikcji mającej oddziałać na czytelnika czy słuchacza w ten lub inny, zawsze wszakże w realny sposób. Umiejętność stwarzania za pomocą słów mniej lub więcej sugestywnej treści, nie mającej często nic wspólnego z rzeczywistością, ale będącą za to jej idealną projekcją, jest właśnie miarą talentu literackiego. U publicystów natomiast rzecz się ma zupełnie inaczej. Jeżeli słowa nie mają być demagogią, muszą się intencjonalnie pokrywać z rzeczywistością. Publicystą w tym wypadku będzie także recenzent, krytyk i historyk literatury. Ich słowa muszą przystawać do rzeczywistości dzieł, o których mówią, mniejsza z tym: realnych czy fantastycznych. Dlatego, powtarzam, tylko publicyści i literaci, a spośród nich zwłaszcza poeci, operujący najbardziej subtelnymi odcieniami znaczeń słownych, wiedzą najlepiej o tym organicznym niejako nieprzystawaniu słów do rzeczywistości, ciągłej ich odstawalności od istoty rzeczy, którą mają wyrażać.

Z czego to płynie? Z przyrodzonej, że tak powiem, antynomii między słowem a rzeczywistością. Inaczej mówiąc z tego, że rzeczywistość prędzej się zmienia niż znaczenie słów, że słowa nie nadążają w rozwoju i zmianie swych znaczeń za rozwojem i przemianą rzeczywistości, za nieustanną komplikacją jej treści, słowem z tego, że każdorazowa rzeczywistość jest bogatsza od słów chcących ją wypowiedzieć. Poza tym słowa mają naturalną skłonność do krzepnięcia w swym raz ustalonym znaczeniu, natomiast rzeczywistość ma skłonność do rozrostu i modyfikacji swej treści. Stąd ta antynomia.

Z jakiego stanu rzeczy wynikają pewne konsekwencje, a właściwie niekonsekwencje, o których doskonale wiedzą i z których najczęściej korzystają rozmaitego rodzaju kazuiści hochsztaplerzy i demagodzy. Znane krętactwa starożytnych sofistów oparte były właśnie na tej odstawalności słów od rzeczy. Przykładem mogą być tutaj słynne aporie starożytnego filozofa greckiego z V wieku przed naszą erą Zenona z Elei. Pierwsza jego aporia czyli sprzeczność logiczna między teorią a praktyką dotyczyła możliwości ruchu i w ogóle dojścia do jakiegoś określonego w przestrzeni punktu w określonym czasie. Filozof ten twierdził, że jest to absolutnie niemożliwe. Bo żeby, np. wyjechawszy z Łodzi dojechać do Piotrkowa, trzeba najpierw przejechać połowę drogi między Łodzią a Piotrkowem, potem przejechawszy tę połowę znów przejechać połowę tej połowy, potem znów połowę tej następnej z kolei połowy, które za każdym razem będą się zmniejszać o połowę, ale niemniej połowami będą, chociaż coraz bardziej mikroskopijnymi. Czy wobec tego można dojechać do Piotrkowa? W myśl tej bardzo logicznej teorii, nie można. Praktycznie zaś wiemy, że można. Tymczasem uczeni całego świata przeszło 2000 lat biedzili się nad rozwiązaniem tej sprzeczności między pojęciami słownymi a rzeczywistością i dopiero w XVI wieku położyli jej kres wprowadziwszy do nauki pojęcia szeregów nieskończonych i uściślając samo pojęcie nieskończoności. Kto chce się bliżej obeznać z tymi sprawami niech sięgnie do bardzo ciekawej, a przystępnie napisanej książki Edwarda J. Pokornego p. t. „Niedyskrecje naukowe", obficie ilustrowanej w wydaniu „Iskier".

Z tych aporii uczonego Zenona z Elei wyśmiewano się już za jego życia, dowodząc że wobec tego nikt z ludzi nie może umrzeć, bo żeby dojść kresu swego życia trzeba wpierw przebyć jego połowę, potem znów połowę połowy i tak dalej aż do nieskończoności, a tymczasem ludzie w Atenach i na całym świecie umierali codziennie. A jednak? Czy aby ten Zenon z Elei tak całkiem zupełnie, jak mówi pewna moja znajoma, nie miał racji? Nie miał wtedy w zastosowaniu swego twierdzenia do ruchu, ale dziś po blisko 2 i pół tysiącach lat ma rację, i to zupełnie całkowitą w zastosowaniu, na przykład, do rozpadowego procesu radu. Jak wiadomo pierwiastek rad rozpada się w sposób naturalny, to znaczy samoczynnie, do połowy swej masy w ciągu 1590 lat. W ciągu następnych 1590 lat rozpada się znów połowa pozostałej połowy i tak aż do nieskończoności. Wobec tego nigdy nie rozpadnie się zupełnie. Chyba, że dokonamy tego sztucznie w laboratorium.

Jak widzimy z powyższego przykładu z twierdzeń uczonych z pozoru nawet najbardziej dziwacznych nie bardzo wypada się śmiać. A nuż jednak okażą się słuszne — nie dziś, to za 2000 lat?

Niemniej przeto obowiązuje nas każdorazowe sprawdzanie zgodności naszych twierdzeń z doświadczeniem, przystawania słów do rzeczywistości. Z nieszczelności przystawania słów do rzeczywistości mogą korzystać tylko poeci i to pod warunkiem tworzenia złudy w formie piękna, które w mniejszym lub większym stopniu jest przecież zawsze odblaskiem rzeczywistości. Ato li chcąc być zrozumiałymi, muszą jednak decydować się na wybór jednego spośród wielu możliwości znaczeń słowa. O tym, jak to robić, mówi specjalna nauka o możliwych znaczeniach słów, zwana semantyką, którą pod koniec ub. wieku stworzył francuski lingwista Michel Bréal. Najnowsza to gałąź wiedzy, zupełnie nieznana w starożytności, chyba, że za „pierwszego semantyka uznamy Sokratesa, który swe dysputy zwykł był rozpoczynać od ustalenia pojęciowego znaczenia słów. Właśnie wyszła ostatnio niezmiernie pouczająca w tym zakresie książka Adama Schaffa „Wstęp do semantyki" w edycji Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Książka nieco trudna i wymagająca pewnego filologiczno-filozoficznego oczytania, ale niezbędna w ręku każdego, kto chce właściwie rozumieć słowa i właściwie używać słów w stosunku do treści, którą one mają wyrażać.

Tylko z uczonymi pewnych wyodrębnionych specjalności jest inaczej. Leopold Infeld w swoich wspomnieniach opowiada, jak to Einstein, który źle władał angielskim rozmawiał z włoskim uczonym, który władał nim jeszcze gorzej: „Wzajemne porozumienie było możliwe tylko dzięki temu, że matematycy prawie nie potrzebują słów, aby się porozumieć. Mają do dyspozycji symbole i kilka technicznych terminów, które można rozpoznać nawet wówczas, gdy są zdeformowane".

Jednak nawet matematycy w życiu codziennym posługują się słowami. Stąd obowiązująca powszechność nauki zwanej semantyką.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Kultura muzyczna- Co to?

Przeprowadziłem rozmowę z rektorem PWSM Kiejstutem Bacewiczem oraz z prorektorem p. Wesołowskim i dziekanem Wydziału Nauczycielskiego tej uczelni p. Kacperczykiem na temat perspektyw upowszechnienia kultury muzycznej z uwzględnieniem tego problemu w dość specyficznych warunkach naszego miasta. Główna część artykułu oparta jest na wypowiedziach p.p. Bacewicza, Wesołowskiego i Kacperczyka, którym w tym miejscu serdecznie dziękuję za informacje.

* * *

Katastrofalne niedokształcenie muzyczne, brak podstawowych wiadomości ułatwiających kontakt z muzyką, nie jest specyficzną wadą akurat tylko naszego robotniczego miasta. Można by zaryzykować nawet twierdzenie odwrotne — Łódź jest miastem stosunkowo dobrze umuzycznionym, zaś brak kultury muzycznej jest na pewno zjawiskiem ogólnopolskim, wcale zresztą nie nowym. Jakie są jego główne przyczyny?

Pierwszą i zasadniczą jest kształcenie estetyczne w szkole średniej. Nie ma potrzeby tłumaczenia jak ważne jest rozbudzenie właśnie w szkole średniej zainteresowań muzycznych młodzieży. Młodzież przychodzi ze szkół podstawowych gdzie przez 7 lat uczyła się „śpiewu" — przedmiotu należącego do grupy „michałków", traktowanego bardzo często po macoszemu. Wcale niejednostkowe są wypadki, że uczniowie opuszczający siódmą klasę przez cały czas nauki w szkole podstawowej nie zetknęli się z nutami, z podstawowymi teoretycznymi wiadomościami o muzyce. Przychodzą oni do szkół średnich, aby już praktycznie nigdy z muzyką się nie spotkać. W programie szkoły średniej nie ma bowiem obowiązkowych zajęć z dziedziny muzyki.

Drugą poważną bolączką jest system kształcenia nauczycieli. Program seminarium nauczycielskiego przed wojną obejmował, poza śpiewem, teorię muzyczną i grę na instrumencie. Również po wojnie szczególnie po roku 1953 kształcenie muzyczne w liceach pedagogicznych stało na dość wysokim poziomie. Obecnie stan ten pogarsza się w związku ze zmianą systemu szkolnictwa pedagogicznego — likwidowaniem liceów pedagogicznych i wprowadzaniem na ich miejsce dwuletnich studiów pedagogicznych, które przyjmują absolwentów szkół średnich. Studia pedagogiczne są kierunkowe, kształcą przyszłych nauczycieli na specjalistów w określonych przedmiotach, a więc muzyki uczy się tylko niewielka garstka młodzieży studiującej w kierunku właśnie muzycznym (jest ich w Polsce bodajże trzy lub cztery). W ten sposób olbrzymia część młodzieży kończy swą edukację muzyczną już w szkole podstawowej. Czym wobec tego można zrekompensować taki niekorzystny stan rzeczy?

Niegdyś brak odpowiedniej ilości godzin w programie szkolnym rekompensowany był przez bardzo szeroko rozwinięty pozaszkolny ruch muzyczny. Nie był on oczywiście bez wad, częstokroć ruchem amatorskim kierowali ludzie źle przygotowani. W roku 1955 w szale reorganizacji zlikwidowano olbrzymią liczbę zespołów muzycznych zarówno złych, jak i tych, które miały za sobą długą tradycję i które reprezentowały dobry poziom wykonawczy. W ostatnich latach ten stan rzeczy uległ znacznej poprawie. Na tegorocznym łódzkim „Małym Festiwalu Amatorskich Zespołów Artystycznych" wystąpiło 27 chórów (16 w ubiegłym roku). Wieloma chórami i innymi zespołami muzycznymi kierują ludzie wykwalifikowani, absolwenci Wydziału Nauczycielskiego Wyższej Szkoły Muzycznej, który w swym dość krótkim istnieniu wykształcił przeszło 100 nauczycieli.

Bardzo ważną akcję stanowi umuzykalnianie przez imprezy. Zajmuje się nią Dział Estrady przy Filharmonii organizując koncerty dla młodzieży szkolnej na wzór tak ogólnie potępianej, a pożytecznej w założeniu akcji „Artosu". Akcja ta ma swoje grzechy, z których najgorszym jest schlebianie niewyrobionym gustom przez wykonywanie bardzo popularnej „muzyczki". Oczywiście, nie można rozpoczynać tej akcji od muzyki bardzo trudnej, nie wolno jednak wykonywać utworów zdecydowanie złych. Inną, wyższą już formą tej samej akcji są koncerty organizowane przez SPAM — na przykład koncerty kameralne, regularnie od pewnego czasu odbywające się w Wyższej Szkole Muzycznej.

Wiele mówi się i pisze o zalewającej nasze społeczeństwo szmirze muzycznej. Istotnie, to poważne niebezpieczeństwo. Tu już chodzi nie tylko o szmirę piosenkarską, którą od lat kilku nieustannie karmi nas radio. Do kształtowania złego smaku wydatnie przyczynia się pewien rodzaj zespołów — choćby pseudoludowe orkiestry Dzierżanowskiego i Wesołowskiego, nadmierne rozpowszechnienie tak zwanych instrumentów popularnych — akordeonu i mandoliny. Tego nie brak. Brak natomiast dobrej literatury muzycznej dla dzieci, brak właściwych podręczników i śpiewników. Mało jest ładnych, wartościowych i nowych piosenek dla dzieci.

Artykuł mówi o perspektywach upowszechnienia kultury muzycznej. Jakież są te perspektywy? Od czego zależy upowszechnienie dobrej muzycznej kultury?

Najważniejszą sprawą wydaje się być szkolnictwo muzyczne. Dość trudno postulować wprowadzenie do przeładowanego programu szkół średnich dodatkowych godzin lekcyjnych na śpiew i muzykę, to zresztą byłoby wyjściem najlepszym. Pewnym wystarczającym w naszych warunkach półśrodkiem byłoby rozwinięcie sieci szkół Ludowego Instytutu Muzycznego, co ściśle wiąże się z podbudową dla średniej szkoły muzycznej, oraz państwowych i społecznych ognisk artystycznych. Obecny stan rzeczy w naszym województwie jest w najwyższym stopniu niewystarczający — istnieje jedna szkoła LIM (Kutno) zaś w Łodzi zaledwie jedna szkoła muzyczna (ani jednej w województwie). Woj. łódzkie jest jedynym w Polsce województwem nie posiadającym państwowych ognisk artystycznych. A to są właśnie podstawy. Na tak zwanym „szczeblu wyższym" jest już nieco lepiej. Działa u nas Łódzkie Towarzystwo Muzyczne będące czymś na kształt przedwojennej Wszechnicy Muzycznej, które prowadzi bardzo pożyteczną akcję umuzykalniania drogą odczytów i najróżniejszych imprez muzycznych. Stanowi to już dowód pewnej ofensywy w kierunku podniesienia poziomu kultury muzycznej społeczeństwa. Ofensywy prowadzonej niestety na zbyt niewielu odcinkach, ciągle jeszcze niewystarczającej.

Nerwice, nerwice

Zmiany zachodzące we współczesnym świecie, w nauce, technice i kulturze, nie ominęły i psychologii. Uczeni całego świata kontynuują badania zapoczątkowane przez słynnego uczonego wiedeńskiego Zygmunta Freuda, twórcę psychoanalizy. Trzema słupami, wspierającymi naukę Freuda są: podświadomość, kompleks (silnie zabarwiony uczuciowo skojarzeniowy i zespół wyobraźni występujący w podświadomości jednostki w następstwie doznanego ciosu, rozczarowania, zawodu, nieszczęścia) i tzw. libido (popęd seksualny, będący według Freuda właściwym motorem życia psychicznego człowieka). Kontynuator twórcy psychoanalizy Adler, a z kolei sam twórca tzw. psychologii indywidualnej, uważał, że motorem życia psychicznego człowieka jest instynkt mocy. Wreszcie, trzeci głośny uczony, Jurg, uważany za twórcę psychologii analitycznej, wystąpił z tezą, że przyczyną sprawczą naszej działalności jest instynkt płciowy zarówno jak instynkt mocy oraz płynąca z nich ogólna energia psychiczna organizmu ludzkiego.

Współczesna szkoła psychoanalityków Karen Horneya i H. S. Sullivana z Erichem Frommem, głośnym psychoanalitykiem i socjologiem, na czele, odrzuciła teorię instynktów Freuda, wykazując że współczesne nerwozy są rezultatem dzisiejszych warunków życia. Samo zaspokojenie potrzeb biologicznych nie czyni — zdaniem Fromma — człowieka szczęśliwym i zrównoważonym. Rzeczą charakterystyczną jest, że właśnie w krajach o wysokiej stopie życiowej krzywa statystyk na chorób umysłowych wzrasta z przerażającą szybkością. Problemem kapitalnym dla Fromma są wzajemne stosunki człowieka ze środowiskiem. Jednostka odczuwa potrzebę zachowania więzi społecznej z ludźmi, ze światem, przy równoczesnym zachowaniu swej wolności. Dla tego na przestrzeni wieków człowiek walczył o wyzwolenie spod władzy tyranów, królów, kościoła, dyktatorów; zaś jednostka buntowała się przeciwko społeczeństwu, i rodzinie i zrywała więzy przymusu moralnego i obyczajowego, znajdując w odzyskanej swobodzie działania wolność negatywną od czegoś, lecz nie znajdując wolności pozytywnej. Doznawszy takiego pozornego wyzwolenia człowiek odczuwał jednocześnie silniej swą samotność w świecie i na pół uświadomiony — lęk przed wolnością. Taki też tytuł „The Fear of Freedom" („Lęk przed wolnością") nosiło jedno z pierwszych dzieł Ericha Fromma.

Kolejna potrzeba wyzwolenia się od nieznośnego uczucia samotności i słabości prowadzi człowieka z powrotem do poddania się ogólnie przyjętym formom życia społecznego i postępowania jak wszyscy (niepokój człowieka zmniejszy się, gdy będzie on myślał i czuł konformistycznie, jak miliony innych ludzi). Kino, radio, telewizja, prasa ofiarują nam pod tym względem uznane powszechnie masowe modele myślenia i postępowania.

Możemy więc zadać sobie pytanie — pisze w jednym z ostatnich numerów miesięcznika „Syntheses" autorka eseju o Frommie — czy nad ludzkością ciąży fatalizm, polegający na tym, że jednostka (w ustroju kapitalistycznym) jest skazana na to, aby wyzwoliwszy się z więzów jednej zależności szukać z lęku — nowych?

Fromm na ogół nie uważa współczesnych społeczeństw za zdrowe. Czy można bowiem traktować jako zdrowe narody, które wydają miliardy na zbrojenia (podczas gdy brak im dostatecznej ilości szkół laboratoriów i mieszkań), w których ilość osób chorych nerwowo osiąga taką przerażającą liczbę jak . Ameryce, że na same środki uspokajające musiano tam wydatkować w 1956 roku 50 miliardów franków?

W jednej ze swych ostatnich prac pt. „Zdrowe społeczeństwo" Fromm wzywa do podjęcia środków zaradczych i organizacji społeczeństwa, którego siły żywotne będą obrócone na służbę życiu, a nie na służbę śmierci. Wówczas nowa era ludzkości będzie początkiem jej odrodzenia, a nie — początkiem końca.

ARYSTARCH

JERZY WALEŃCZYK

EPILOG

Tu jestem. Węch i smak i dotyk.
Straciłem trwogę w rozważaniu
I słucham jak mnie zwodzi wzrok,
Jak cichnie rozpędzony potok,
A więc wypada wierzyć snom.
I chłodnym deszczem smagać plemię,
Zmartwychwstać, kiedy wspomni ktoś
I myśleć czasem: Ziemio, Ziemio,
Może się tylko wydawało,
Może to nieudolny gniew,
Tu trwoga jest równiną białą.
Mężczyzna mnoży płodne domy,
Tysiące nocy sam przemierza,
A rano znak. I gnie się wzgarda.
Tu jestem. Przez gorące piękno
Brnąłem i wiem co strach.
Tak nas zbędny ból prowadzi
Przez maj i grudzień. Bo to męstwo,
Przez miecze rozszczepione klęską,
Przez świece, które zdmuchnął wiatr.

Tu jestem. Czytam nową powieść
Chociażby senną analogię.
To czas jedynie we mnie warczy
I kasztan jest codziennie starszy.
I mała chwila nieuwagi
I jakiś jeden krok za wcześnie.
Tu jestem i tu moje zbrodnie.
Cóż, w tej prowincji urodzeni,
Mnożymy sny, szukamy źródeł.
Nad nami niebo. Trochę czasu.
To wstaje dzień. Godzina czysta

CZAROWNICA

Pod skrytą porą
Blednących pozorów,

W smutne beczące dni
Zmierzchem barwi talię kart.

Zsyła śmierć jaskółkom,
Zniewala czystą trawę.

Ślepa, jeżeli
Lipa miodem się pasie.

Trapi niewinnych,
Przyjmuje umarłych.

Zarzyna senne pojęcia
Na rosół.

Kości ich
Ogryza wiatr.

Dziecinna, irracjonalna
Owoce wiąże w supły.

Klnie nie wiedząc czy był szatan,
Czy go nie było.

Topniejąc krąży
Wokół mojego zbawienia.

ZAJĘCIA
dla artysty na wsi

Siana kosić nie umie, niech nie kosi siana,
Skąd pożytek być może? Niech więc pije mleko.
Niech rozpostrze grabiami, aby uschnąć mogło.
Chleb ma być z żyta, pszenicy niespleśniałej,
Dobrze ukisły, trochę przesolony.
W pustym pokoju rozrzuconych snów
Ćmę śpiącą w próchnie drzewa niech pobłogosławi,
Niech kłos kruszy w palcach, niech go słońce pali,
Poddaje się pragnieniu i wypluwa pestkę.
Ma na prosięta patrzeć jak w młody len wchodzą,
Bo len młody jest prędką i pewną śmiercią.
Popatrzeć jak wiążą, potem zwożą zboże,
Mówić jaka pogoda jutro następuje.
Zardzewiałym sierpiem trochę się pobawić,
Widzieć byka przy krowach, przy owcach barana.
Ma popatrzeć na drzewo rodzące. Spać. Spać.
Hipokrates radzi na brzuchu, kiedy ma żołądek chory.
Ma myśleć o szczurze w piwnicy, o żabie
Wyschniętej w trawie nad bajorkiem, krecie
W ostach, martwym i białym.

AWERCZENKO

Robinsonowie

Z tonącego okrętu uratowali się tylko dwaj: Paweł Narymski — inteligent oraz Prow Iwanowicz Akacjew — szpicel ochrany carskiej.

Rozebrawszy się do naga, wyskoczyli z pogrążającego się w odmętach okrętu i szybko prując rękami wodę skierowali się ku odległemu brzegowi. Pierwszy dopłynął Akacjew. Wspiął się na skalisty brzeg, poczekał na Narymskiego, a gdy ten, ciężko dysząc z wysiłku, wdrapywał się po mokrych kamieniach — zwrócił się do niego urzędowym tonem:

— Pana paszport?

Narymski, nagi, rozłożył mokre ręce.

— Nie ma paszportu... Utonął.

Akacjew nachmurzył się.

— Wobec tego jestem zmuszony...

Narymski zjadliwie uśmiechnął się.

— Niestety... Nie ma gdzie!

Szpicel odgarnął z czoła kosmyk mokrych włosów, jęknął z żalu i bezsilności, po czym milczący, nagi i smutny podążył w głąb wyspy.

* * *

Narymski urządzał się jak mógł na bezludnej wyspie. Zebrał na brzegu wyrzucone przez fale odłamki kadłuba i niektóre rzeczy z zatopionego okrętu i z tych żałosnych szczątków począł budować szałas.

Akacjew ponuro patrzał na niego zza skały, pocierając gołe, chude ręce. Zobaczywszy, że Narymski stawia już drewniane ściany, podkradł się do niego i głośno krzyknął:

— Aha! Wpadł pan! Co pan tu robi?!

Narymski uśmiechnął się.

— Szałasik stawiam.

— O, nie! Nie! Mnie pan nie nabierze! To dom a nie szałas... Czy zna pan przepisy prawa budowlanego?

— Nie znam.

— A gdzie instrukcja przeciwpożarowa?

— Odczepi się pan ode mnie?

— Nie, nie odczepię się! Zabraniam panu kategorycznie dalej budować bez zezwolenia!

Nie zwracając na Akacjewa uwagi, Narymski dopasowywał drzwi do swojej chatki na kurzych nóżkach. Szpicel westchnął ciężko, postał jeszcze chwilę i powlókł się powoli przed siebie.

Postawiwszy szałas, Narymski zakrzątnął się, żeby go jak najlepiej wyposażyć. Na brzegu znalazł jeszcze skrzynkę z książkami, strzelbę, trochę amunicji i beczułkę solonej słoniny. Wszystko to przeniósł do swojej sadyby.

* * *

Pewnego dnia, gdy Narymskiemu zbrzydła stęchła słonina, wziął strzelbę i zagłębił się w dziewiczy las z zamiarem upolowania jakiegoś zwierzęcia, lub choćby ptaka. Przez cały czas swej wędrówki czuł czyjąś obecność koło siebie. Jakiś człowiek, milcząc, przebiegał od drzewa do drzewa, przyczajał się za grubymi pniami, ale Narymski nie zwracał na niego uwagi. Ujrzawszy przemykającą dziką kozę — złożył się i wystrzelił.

Zza drzewa wyskoczył Akacjew i chwycił Narymskiego za rękę.

— Aha! Teraz pan wpadł! Zezwolenie na broń posiada pan?

Obdzierając ze skóry upolowaną kozę, Narymski dosadnie wzruszył ramionami.

— Czego się pan mnie czepia? Proszę się zająć swoimi sprawami!

— To są właśnie moje sprawy! — odparł urażony Akacjew. — Aż do wyjaśnienia pan będzie łaskaw oddać mi broń na przechowanie — za pokwitowaniem...

— Ani myślę! Ja znalazłem strzelbę, a nie pan!

— Wobec tego ma pan prawo żądać jednej trzeciej znaleźnego — zaczął Akacjew, ale zrozumiawszy widać niedorzeczność tych słów przerwał i wyraźnie zły zakończył: — A w ogóle to nie wolno panu jeszcze polować!

— A to dlaczego?

— Okres polowań zaczyna się od dnia świętego Piotra, a jeszcze nie było świętego Piotra!

— Ma pan kalendarz, żeby sprawdzić? — z głupia frant spytał Narymski.

Akacjew zamilkł, przestąpił z nogi na nogę i rzekł surowo:

— Wobec tego aresztuję pana za zakłócenie spokoju strzelaniną!

— Proszę, niech pan mnie aresztuje! Ale uprzedzam, że na podstawie odnośnych przepisów musi mi pan dać jakieś lokum, jedzenie, pilnować mnie i wyprowadzać codziennie na spacery!

Akacjew zamrugał powiekami, wtulił głowę w ramiona i skrył się między drzewami.

* * *

Narymski wracał inną drogą. Przechodząc przez zwalone burzą drzewo przerzucone przez wąziutką rzeczkę, zauważył na drugim brzegu słupek z jakimś napisem. Przybliżywszy się, przeczytał: „Jazda przez most stępa". Pokręciwszy głową, nachylił się, żeby ugasić pragnienie czystą, orzeźwiającą wodą ze źródła. Na leżącym przy brzegu kamieniu widniał napis: „Nie pijcie surowej wody! Winni przekroczenia tego zarządzenia podlegają..."

Zasnąwszy po sutej kolacji na ciepłym posłaniu z liści głuchej nocy usłyszał odgłos energicznych kroków. Otworzywszy drzwi, ujrzał przed sobą mrocznego, stanowczego Prowa Akacjewa.

— Czego pan chce?

— Proszę mnie wpuścić! Muszę przeprowadzić rewizję. Na podstawie poufnych wiadomości...

— Ma pan nakaz przeprowadzenia rewizji od prokuratora?

Akacjew głucho jęknął, chwycił się za głowę i z okrzykiem bólu i żalu wybiegł z izdebki.

Na dwie godziny przed świtem zapukał w okienko, krzycząc:

— Widziałem u pana

książki! Jeżeli zawierają one niedozwoloną treść, a pan ich nie zgłosił komu należy — zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności karnej na podstawie artykułu...

Narymski spał beztrosko.

* * *

Pewnego dnia, kąpiąc się w ciepłym, drzemiącym od upału morzu, Narymski odpłynął daleko od brzegu, dostał skurczu w nodze i począł tonąć. Czując, że lada chwila pójdzie na dno, zebrał ostatek sił i instynktownie krzyknął: „Ratunku"! W tym momencie zauważył, jak stercząca za skałą postać szybko wybiegła ze swej kryjówki i skoczyła do morza, płynąc energicznie ku niemu...

Narymski odzyskał przytomność na piaszczystym brzegu. Głowa jego spoczywała na kolanach Akacjewa, który z wielką troską rozcierał mu piersi i ręce.

— Żyje... pan? — spytał z trwogą Akacjew, pochylając się nad Narymskim.

— Żyję... — przyjemne uczucie wdzięczności i podziękowania rozjaśniło twarz Narymskiego. — Dziękuję panu... Bardzo dziękuję... Niech pan powie... Ryzykował pan dla mnie życiem... Uratował mnie pan od niechybnej śmierci... Więc jednak, mimo wszystko, jestem panu drogi?...

Akacjew westchnął, powiódł zamglonym wzrokiem po bezkresnym, morskim horyzoncie, objętym płomieniem czerwonego zachodu — i prosto, naturalnie, powiedział:

— Oczywiście, jest pan dla mnie bardzo drogi... Gdy wrócimy do kraju, będzie pan musiał zapłacić około stu tysięcy tytułem kar albo posiedzieć około stu pięćdziesięciu lat w więzieniu...

I po chwili milczenia dodał serdecznie:

— Niech panu Bóg da dużo zdrowia, długich lat życia i bogactwa!

Z oryginału przełożył:

ADAM OCHOCKI

JÓZEF WIŚNIEWSKI

Potargować można

Miasteczko, które zazwyczaj jest rezerwatem ciszy — dziś tętni życiem.

Na rynku setki wozów, obok stragany z towarem. Ktoś waży owoce, jakiś mały chłopak podaje koniom siano. Obok wozy pełne gruszek, złotych śliwek, jabłek. Jakiś chłop niesie do budki GS brudną płachtę wełny, ktoś ostrożnie układa na wadze białe bryły wapna, inni sprzedają słomę, siano. W budce wąsaty chłop ubrany w biały fartuch i paradna rzeźniczą czapę ćwiartuje mięso. Obok —urzędnik miejski, który za chwilę ściągnie podatek za wynajęcie budki i narzędzi.

Gromadka chłopaków ze wsi odstawia na bok motocykle. Kupują teraz niebieskie koszule, któryś bierze broszkę dla dziewczyny, inny ogląda z panną drogą nylonową bluzkę W straganach wybór „modnych" ciuchów pod tutejsza publiczkę, na wsi nosi się to co w mieście wychodzi z mody.

W komórce, imitującej stoisko z artykułami gospodarstwa domowego, rozłożone na ziemi talerze, wiadra i tandetne aluminiowe nakrycia stołowe w skrzynce. Nieco dalej na placu pochrząkują raźno świnie, ryczy bydło i parska koń, któremu nabywca niemiłosiernie wywraca wargi, chce obejrzeć zęby. Wokół tłoczy się ciżba, wśród nabywców prywatnych — agenci skupu GS.

W sklepie z obuwiem — stary chłop kupuje „gumiaki", chłopka wybiera tanie „modne" buty na półsłupkowym obcasie.. Obok kobiety w zapaskach kupują „gdynki" i tanie obuwie tekstylne. Chłopi, choć kłopotliwi klienci, wykupują w dzień targowy trzy razy tyle obuwia co obywatele Rawy w inne dni.

W magazynie z odzieżą stary chłop przy pomocy mężczyzny ubranego w gabardinowy płaszcz (zapewne syn), naciąga na siebie garnitur. Ale już po chwili rezygnuje — sześćdziesiątka za droga, decyduje się na tańszy. I tu także ruch niecodzienny, garniturów z setki prawie nikt nie bierze, chyba na ślub lub jakieś uroczystości. Setka nie idzie także w sklepie z materiałami włókienniczymi, zresztą materiały ubraniowe nie mają tu powodzenia, kupuje się gotowe ubrania, kretony dla kobiet i gotową konfekcję dzienną.

Prezes PZGS jest zaabsorbowany interesami i niezadowolony. Kółka rolnicze (a jest ich w powiecie 121 na 360 wsi), kupują mało maszyn. W ciągu całego br. poszło dopiero 8 ciągników z przyczepami, ale całych zestawów chłopi nie chcą brać Ciągniki i przyczepy potrzebne są im do wywozu nadwyżek owoców. Prezes zaś — polityk, chciałby sprzedawać więcej maszyn rolniczych, podnosić kulturę rolną. Rozpogadza twarz dopiero w magazynie, gdzie niezliczona ilość odbiorców pyta o różne typy mniejszych maszyn. Zaopatrzenie dobre Sprzedaje się sporo koparek, siewników, pługów i wiele innych maszyn do trakcji konnej. Bogatsi kupują także motory (spalinowe i elektryczne), ale niezbyt dużo, bo ziemia tu niebogata.

Czwarta, piąta, szósta klasa, płaski w rejonie Rawy. Traktor, ciężka maszyna a nawet w ogóle maszyna to nie częsty gość na tej ziemi Gospodarstwa w rawskiem, małe do 2 ha — 33 proc., do 5 ha — 44 proc. Na 80 tys. ha ziemi ornej 22 tys. gospodarstw. W ciągu ostatnich trzech lat przybyło 1700 nowych. Znam niedaleko Rawy poletka nie szersze niż cztery stoliki restauracyjne zestawione razem.

Radioodbiornik czy telewizor to niezbyt często spotykany zakup na wozie chłopskim. Przecież nawet połowa wsi w powiecie nie posiada jeszcze elektryfikacji. W bieżącym roku zakupiono w Rawie nie więcej niż 10 telewizorów, a radioodbiorników — kupiono około 60 sztuk i to tych tańszych. Motocykli — choć nabywa się, jak wszędzie na wsi, sporo — w Rawie nikt nie kupi zbyt wiele. WFM czy inne tańsze maszyny sprzedaje się tutaj na talony i to w ilości nie przekraczającej 10 sztuk miesięcznie. Bez ograniczeń można nabywać wyłącznie drogie maszyny zagraniczne, czy „Junaki". Motor w rawskiem służy nie tylko do celów praktycznych, zastępuje on tutaj konie i jest do „parady" oraz celów można rzec kawaleryjskich. Jeździ się nim na targ, do kościoła, na zabawę i to nie zawsze w zupełnie trzeźwym stanie. Niektórzy wyjeżdżają na motocyklach nawet na pola.

Swego rodzaju dziwoląg targowy to kolejka chłopów przed piekarnią. W dzień targowy kupuje się tu dwa razy tyle pieczywa co w dni powszednie. Najczęściej bułki — dla dzieci, chleb — bo na wsi nie zawsze jest w pobliżu piekarnia, samemu nie opłaci się piec chleba we własnym piecu, lepiej dziś sprzedać zboże czy mąkę i kupić chleb w piekarni.

Targi w Rawie mają stara tradycję. Ongiś tylko tutaj można było sprzedać i kupić co trzeba. Ale i dziś w dobie GS, gdy sklep jest często pod ręką we własnej wsi — także jeździ się na targi W mieście jest zawsze większy wybór towarów, a targ to dla chłopa także coś w rodzaju „kawiarni" i wielu innych instytucji kulturalno-oświatowych. Tu spotykają się znajomi z różnych wsi, tu udziela się rad życiowych, ustala ceny na różne towary, tutaj można przy okazji załatwić coś w urzędzie powiatowym, tutaj też można, choć już dziś rzadziej — skojarzyć małżeństwo.

Przyjrzyjmy się temu zarośniętemu chłopu, który nie golił brody od niedzieli Stoi przy wozie, odbija ćwiartkę i pije na placu z kompanem. Przed chwilą sprzedał jedyny towar jaki dziś przywiózł — wiązkę siana. Był to tylko pretekst do przyjazdu, w gruncie rzeczy chodziło o te ćwiartkę, a może o dwie, lub trzy.

W restauracji w dzień targowy — wzmożony ruch, szczególnie przy bufecie, gdzie alkohol sprzedają bez ograniczeń. W ciżbie pije się najczęściej wódkę przyniesioną z sobą ze sklepu. Tak jest taniej Nieliczni tylko odmawiają sobie pobytu w restauracji na rzecz pijaństwa na świeżym powietrzu. Knajpa daje bowiem jeszcze jedną „atrakcję". W dni targowe giną tu niesamowite ilości talerzyków, szklanek i tandetnych aluminiowych nakryć stołowych

Szosą pędzą całe bandere ścigających się motocyklistów. Patrole milicyjne mają pełne ręce roboty. Jakiś motocyklista dmucha w balonik milicjant ciągnie jego maszynę do komisariatu, balonik był nie w „tym" kolorze. A maszyna nie koń, pijanego do domu nie dowiezie.

Od rynku jadą wozy — powoża kobiety Wóz podskakuje, wewnątrz walają się niesprzedane jabłka, nowa koparka do ziemniaków, chleb, elegancki pilśniak. Milicjanci zatrzymują jakiegoś pijanego woźnicę. Ktoś z boku dogaduje, że chyba wdowiec, żonatemu powoziłaby trzeźwa kobieta.

* * *

W sądzie powiatowym od rana ruch... Wielka afera? Nie. Sąd ma jednak powodzenie. Tu ogniskują się niemal wszystkie sprawy tej ziemi. Dużo drobnych spraw, zainteresowani, świadkowie, publiczność. Sąd to tutaj także teatr, kino, literatura i szkoła. Przede wszystkim szkoła. Wśród publiczności, bimbrarze, złodzieje leśni, starzy pieniacze, zawalidrogi zabawowe.

Na wokandzie sprawa bimbrarza. Gdy milicjanci wkroczyli do jego domu, obwiniony potłukł gąsior z zacierem. W protokóle — milicjanci stwierdzają — „To bimber. Rozpoznali po zapachu" Ale zapach rzecz względna. Obwiniony twierdzi, że zrobił wino jabłeczne, a gąsior jakoś mu się wyśliznął z rąk, gdy milicjanci wchodzili do domu.

— Proszę powiedzieć, jak obwiniony robił to wino — prosi prokurator.

— Obrałem jabłka, pokroiłem, przegotowałem z cukrem, potem wlałem do gąsiora...

Publiczność się zaśmiewa, szczególnie starzy spece od pokątnej produkcji alkoholu.

W ostatnim czasie wydatnie zmiejszyła się ilość bójek wywoływanych na zabawach. Wydano zakazy urządzania zabaw dla gromad w których nie potrafiono bawić się bez bójek. Milicja z całą bezwzględnością ścigała nielegalne zabawy. Winni wszczynania awantur zaczęli otrzymywać najwyższe wymiary kar stosowanych w przypadku tego rodzaju przestępstw. Rezultat — w krótkim czasie ilość bójek zmiejszyła się o 40 proc. Jeszcze trzy lata temu, prokurator bywał w niedziele wzywany do bardzo wielu ciężko pokiereszowanych.

Przeglądam statystykę. Najwięcej drobnych kradzieży, szczególnie leśnych. Sporo wypadków drogowych spowodowanych nadużyciem alkoholu przez motocyklistów. Wiele spraw o ziemię po krewnych — o korzystanie ze wspólnej studni, o wspólne podwórka, o miedze.

Opuszczam sąd razem z młodym mężczyzną. Pochodzi on ze wsi, obecnie jednak pracuje w mieście. Przyjechał do Rawy, aby wywiedzieć się czy nie uda mu się zdobyć trochę pieniędzy od rodziny. Wstrzymano bowiem spłaty za ziemię dla ludzi pracujących i zamieszkujących w mieście. Młody mężczyzna z którym rozmawiam — ma w mieście pracę, mieszkanie. Rodzice i brat ciężko pracowali, żeby mu pomóc kupić mieszkanie, urządzić go. Ale ów młody człowiek jest bezwzględny, chciwy. Będzie próbował wybiegu z podziałem ziemi, będzie udawał, że wraca na wieś, że ma zamiar sam gospodarzyć, potem spróbuje wyłudzoną ziemię sprzedać. O tym już adwokatowi nie mówi. Ten zamiar zrealizuje jeśli mu się wybieg uda.

* * *

Na ulicy grupka podpitych donżuanów powiatowych umawia się ze sobą na niedzielę do Spały „na wczasowe dziewczynki". Kilku chłopców z dziewczętami idzie do pobliskiego lasu, z kościoła słychać dzwonek, ulicą toczą się barwne kule wełniaków. Potem cisza, wielka cisza małego miasteczka, ruch coraz mniejszy. Miasteczko znowu staje się rezerwatem ciszy.

KAZIMIERZ ZYGMUND

Jutro może być za późno...

Największe w Łodzi zakłady przemysłu bawełnianego nie posiadają do tej pory swojej monografii. I chociaż w historii ruchu robotniczego nie jeden raz wymienia się dawniejszą fabrykę Poznańskiego jako teren działania grup politycznych, dotychczas nie stała się ona tematem poważniejszej pracy.

Jeden z łódzkich literatów zapowiedział obszerniejszą pracę z dziejów fabryki. Zapowiedział, a ja uważam, że z napisaniem książki należy się śpieszyć, bo życie zakładów tak szybko się rozwija, że niemal każdy dzień przynosi coś nowego.

Każda fabryka włókiennicza „zaczyna się" od przędzalni. Od niej wiele zależy, jaki będzie towar, czy kupiec w Indiach czy Ameryce Południowej będzie zadowolony, czy zakupi następną partię towarów. Dlatego też wyposażeniu przędzalni kierownictwo zakładu poświęca szczególną uwagę. Kilkadziesiąt maszyn — starych weteranek, pamiętających jeszcze czasy Juliana Marchlewskiego — zostało zastąpionych najnowocześniejszymi przędzarkami.

Oczywiście, spotyka się jeszcze stare maszyny: zgrzeblarki, skręcarki i przewijarki, które spisują się nienajgorzej Po długich namysłach postanowiono pozostawić te maszyny na dotychczasowych stanowiskach Solidna konserwacja zapewni im żywot jeszcze na kilka lat A zakład będzie mógł przeznaczyć pięć milionów złotych na ważniejsze inwestycje.

Nowe maszyny przędzalnicze mają wiele zalet, jedną z nich jest „cichobieżność". Nie potrzeba już krzyczeć do ucha rozmówcy, by cośkolwiek zrozumiał, tak jak to miało miejsce w starej przędzalni. Szum, który powstaje w czasie pracy maszyn, jest tylko szmerkiem w porównaniu do szumu przędzalni z epoki koła napędowego.

W niedługim czasie taki „klasyczny" szum utrwalony na taśmie magnetofonowej — będą posiadać jedynie radiowcy w swoim archiwum dźwięków.

Każdemu ze zwiedzających Zakłady imienia Marchlewskiego nasuwa się pytanie: czy bardzo zmniejszyła się liczba osób zatrudnionych na przędzalni po zainstalowaniu nowych maszyn?

Problem zwiększania wydajności i zmniejszania ilości osób obsługujących maszyny — to rzecz nie nowa w zakładzie. Kiedyś, kilka lat temu, fabryka zatrudniała trzynaście tysięcy osób; obecnie liczba pracujących wynosi tylko osiem tysięcy pięćset. Proces zmniejszania załogi postępował w miarę ulepszania organizacji pracy i skracania cyklu produkcyjnego. Reszty dokonały nowe maszyny.

Czy wobec tak szybko postępującej modernizacji przemysłu włókienniczego nie grozi bezrobocie?

W zasadzie odchodzą z pracy tylko ludzie bez kwalifikacji Ci, którzy chcą zdobyć zawód — możliwości mają duże, gdyż zapotrzebowanie na robotników wykształconych się nie zmniejsza. Tym bardziej, że wraz z akcją usuwania na złom przestarzałych maszyn, buduje się nowe oddziały produkcyjne. Takim nowopowstającym oddziałem w Zakładach imienia Marchlewskiego jest tkalnia — w której stanie tysiąc dwieście suarerowskich krosien. Nowy obiekt produkcyjny zostanie oddany do użytku jeszcze w tym roku i będzie krzykiem mody na skalę nie tylko krajową. Tu już nie będzie można narzekać na złe warunki zdrowotne dla robotników.

Dodajmy, że nie tylko nowe obiekty przemysłowe wyposażone zostaną w urządzenia uprzyjemniające pracę. Niemal na wszystkich starych oddziałach zainwestowano duże sumy, aby poprawić warunki bezpieczeństwa Trudno cyframi zilustrować w jakim stopniu poprawił się stan higieny i estetyka życia pracownika. To trzeba zobaczyć, trzeba się naocznie przekonać. Wędrówka po zakładzie przynosi coraz to nowe, zaskakujące odkrycia. Na każdym niemal kroku spotykamy większe lub mniejsze ulepszenia. Piszę „wędrówka", bo chcąc obejść wszystko, trzeba przejść kilka kilometrów sal, korytarzy, i labiryntów.

Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczami: maszyny elektronowe do farbowania i suszenia tkanin. Właśnie robotnicy ustawiają nieznany agregat. Jutro już poznają jego mechanizm. Pięknie obudowane maszyny — komponują się z odnowionymi ścianami hali fabrycznej. Na każdym kroku znać rękę plastyka, który zmienia charakter sal produkcyjnych. Brudnoszare kolory ustępują świeżym, jasnym. Niektóre sale przypominają swym wyglądem salon wystawowy. Warto ten proces unowocześniania fabryki utrwalić w dokumencie monograficznym.

JERZY JASIEŃSKI

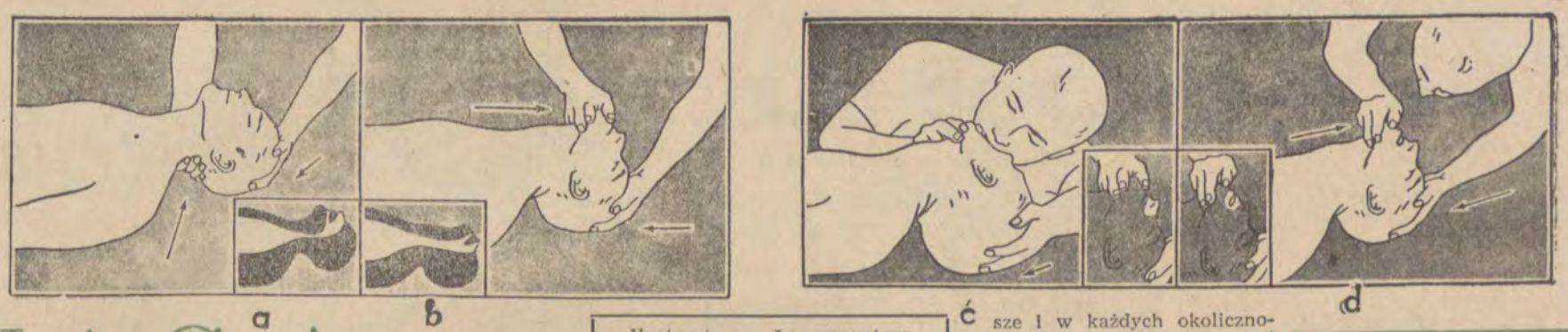

UWAGA — DUSI SIĘ

Ilustracje z Le sauveteur Nr 3/59 z Meddelelser — Falck.

Autor, zdając sobie sprawę z tego, iż artykuł nie wyczerpuje nawet części zagadnienia, będzie wdzięczny czytelnikom o ile skierują na adres redakcji swe pytania i wątpliwości, na które postara się na łamach „Odgłosów" odpowiedzieć.

Człowiek przestał oddychać, uderzeń serca też nie można już dosłyszeć, nawet słuchawką. Stan taki może wystąpić u osobnika rażonego prądem elektrycznym, u

Fot. 1

wyłowionego z wody topielca, wreszcie z jakiejś innej przyczyny. Człowiek ten jednak nie umarł jeszcze — to tylko przejście między życiem, a śmiercią. TO ŚMIERĆ POZORNA. Nieprzytomnego dzielą już tylko minuty, może nawet sekundy od śmierci prawdziwej, śmierci klinicznej. Szanse na uratowanie tego życia maleją błyskawicznie. ALE SZANSE SĄ!!!

Po dwóch minutach takiego stanu prawdopodobieństwo przywrócenia życia wynosi 92 proc., po trzech spada od 72 proc. i

po 4 — 50%
„ 5 — 25%
„ 8 — 5%

Po trzeciej minucie bezdechu w mózgu pojawiają się już różne nieodwracalne zmiany, a po upływie 8 minut nie można już liczyć na sukces nawet, jeśli uda się przywrócić chwilowo oddech i akcję serca.

Co ma robić laik, który przypadkiem znajdzie się w pobliżu, gdy fachowych ratowników nie ma jeszcze przy nieprzytomnym?

Duńscy specjaliści Ratowniczego Korpusu Falck'a zgodnie zresztą z opiniami uczonych szwajcarskich, angielskich, australijskich i szwedzkich zalecają dwa zasadnicze sposoby postępowania:

1) ułożenie na boku

2) sztuczne oddychanie „usta-nos, usta-usta".

Trzeba tu od razu zaznaczyć, że o ile ułożenie na boku nie budzi najmniejszych zastrzeżeń, to metoda „usta-nos" przez wielu ludzi może być nazwana (i słusznie) niehigieniczną i nieestetyczną. Muszę tu przytoczyć pogląd słynnego Eric. K. Gardnera, zawarty w liście do medycznego pisma THE LANCET: „Wystarczy, aby ustrzec pacjenta przed infekcją, stosować dokładne, okresowe badania ratowników"; a w sprawie estetyki: „często ręcznie pracujemy przy nawozie w naszym ogródku. To robimy dla ogrodu — tamto może ocalić życie dziecka".

Na czym jednak polegają oba sposoby postępowania. Ułożenie na boku ilustrują ryciny 1 i 2. Dlaczego się to ułożenie stosuje? Dlatego, że przy ułożeniu człowieka nieprzytomnego „na wznak" grozi zawsze tzw. „zapadanie języka"! Język cofa się, zatyka gardło i powietrze nie może dostać się do płuc — człowiek dusi się. Ułożenie na boku należy stosować przy transportowaniu osób nieprzytomnych, w czasie oczekiwania na pomoc i po udzieleniu pomocy, jeżeli człowiek oddycha, ale nie można się z nim porozumieć.

A więc ogólna zasada: *O ile nieprzytomny oddycha — ma oczekiwać na pomoc fachową w pozycji na boku* (oddech stwierdzamy nie po ruchach klatki piersiowej, ale uchem przyłożonym do ust i nosa poszkodowanego).

A jeżeli nie oddycha... wtedy natychmiast, bez żadnej zwłoki, należy wykonać trzy czynności.

(Rysunki a, b, c, d)

1) ułożyć na wznak,

2) odgiąć jak najdalej w tył głowę, trzymając ją oburącz tak jak to widać na rycinie 3.

3) wdmuchiwać własnym oddechem powietrze nieprzytomnemu silnie i spokojnie 12 razy na minutę.

Nasz wydech jest więc wdechem ratowanego człowieka, a gdy odrywamy od niego usta, by samemu nabrać powietrza — on robi automatycznie wydech. Ryc. 5.

O ile nos jest drożny próbujemy z *reguły najpierw wdmuchiwać powietrze przez nos*, zaciskając jednocześnie szczelnie usta ratowanego kciukiem ręki podtrzymującej brodę w górze (metoda „usta-nos"). Ryc. 4. O ile powietrze przez nos nie przechodzi wdmuchujemy powietrze prze usta, odginając dolną wargę ratowanego kciukiem ręki trzymającej brodę (metoda „usta-usta") Ryc. 6. O ile ratujemy dziecko — obejmujemy ustami jednocześnie nosek i usteczka dziecka.

W każdym przypadku najważniejszy jest chwyt i odgięcie w tył głowy — przy zwykłym ułożeniu głowy język zapada i udzielenie pomocy staje się niemożliwe.

Fot. 2

Metoda ta nie jest nowa, opisana w Starym Testamencie (2 Król. IV, 34), cytowana w 1797 roku przez Vogla, zaczyna obecnie od 1958 roku zdobywać na całym świecie coraz więcej zwolenników. Szkoleniu podlegają pracownicy służby zdrowia, czerwonych krzyży, wojsko, straż pożarna i wszelkie ośrodki ratownicze. Stosuje się ją w każdym przypadku ginącego życia nader często ze zdumiewającym powodzeniem.

Szwedzki uczony Dr A. Ruben podał 22 sierpnia 1960 roku następujące zestawienie ożywiania tą metodą: Ratowano 21 osób, uratowano z tej liczby 19. Wszystkie ofiary wykazywały całkowity brak oddechu i tętna (2 niemowlęta, 5 małych dzieci, 8 starszych dzieci, 6 dorosłych). Przywrócono oddech w 12 przypadkach po mniej jak 30 wdechach. W 4 przypadkach po 5 minutach, jeden po 15 minutach, jeden po 1 godzinie.

Fot. 3

Fot. 4

Fot. 5

Fot. 6

Wśród ratujących było 4 starszych dzieci i 17 osób dorosłych w tym 4 kobiety. Żaden z ratujących nie był lekarzem albo pielęgniarka — 6 z nich było szkolonych, pozostali tylko czytali o tej metodzie lub widzieli ją w telewizji, a jeden nawet nie słyszał o niej i sam ją zaimprowizował. 6 ratujących było krewnymi ofiar, 5 znajomymi, 10 było obcymi ludzmi.

Jest rzeczą oczywistą, że krewni i znajomi nie wahali się. Dla pozostałych ratowników higiena estetyka i inne hamulce (nb. irracjonalne) odgrywały mniejszą rolę niż szansa przywrócenia życia nawet obcemu człowiekowi. W potrzebie nie myśli się o niczym poza celem głównym.

Pamiętajcie jednak — zawsze i w każdych okolicznościach najważniejszy jest czas. Przy ratowaniu topielca, jak twierdzi twórca aparatu „AMBU" Dr Hennig Ruben, trzeba przystąpić do sztucznego oddychania natychmiast, nie kładąc uprzednio utopionego na kolanie i nie usuwając z niego wody w żaden inny sposób. Z lekarskiego punktu widzenia, o ile płuca wypełnione są wodą, to i tak nic nie pomożemy, zaś o ile woda wypełnia tylko oskrzela, to wciągnięcie jej do płuc i ewentualne następstwa chorobowe będą mniej szkodliwe od straty czasu, która prowadzi do śmierci. Należy tylko zawsze usunąć zanieczyszczenia z jamy ustnej.

Jeżeli chodzi o szkolenie w tej metodzie, to Duńczycy znaleźli sposób. Inż. dr Holger Hesse w Kopenhadze skonstruował i produkuje masowo manekin - fantom (ryc. 7) na którym doskonale można się wprawiać w metodzie „usta-nos, usta-usta" zmieniając dla każdego ucznia gumową maseczkę, doskonale imitującą twarz człowieka. Odpowiedni system rurek i wentyli naśladuje górne drogi oddechowe, płuca i żołądek.

Oto kilka słów o prostych metodach ratowania życia na użytek domowy i powszechny.

Na zakończenie należy oddać, że metoda „usta-usta" została uznana w marcu bieżącego roku przez Międzynarodową Konwencję Techniki Ratowania Życia w Australii. Konwencja ta uznała poza tym tylko dwie inne metody sztucznego oddychania, a mianowicie Silvestra i Nielsena.

Fot. 7

Śledź i wieloryb

(Dokończenie ze str. 2)

kiegoś sposobu, by „na godzinę przed dwunastą" zapobiec dalszemu pogorszeniu się stosunków między USA i Kubą. **„Jeśli coś się szybko nie stanie, delegaci Ameryki Łacińskiej obawiają się, że obecna sytuacja może przekształcić się w konflikt wojskowy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Kubą".**

Nie ulega wątpliwości, że dla rządów większości krajów Ameryki Łacińskiej posunięcia rządu Fidel Castro są zbyt radykalne, ale jednocześnie, jeżeli Kuba oprze się amerykańskiemu wielorybowi, to status stosunków między USA a resztą krajów Ameryki Łacińskiej będzie musiał ulec zmianie na korzyść tych krajów. Dlatego mimo obaw żywionych wobec rewolucji kubańskiej przez rządy krajów Ameryki Łacińskiej, cieszą się one w duchu, patrząc, jak mała Kuba wodzi za nos potężnego wuja Sama.

Konflikt amerykańsko-kubański wkracza w najostrzejsze stadium. Być może będzie ono rozstrzygające. Na małą Kubę patrzy cały świat. Jedno jest pewne. Stany Zjednoczone dają przykład, jak w praktyce stosują okrzyczane ideały wolności i obrony tzw. „wolnego świata".

JACEK LEBEN

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Na najbliższe trzy dni możemy zapowiedzieć parę zupełnie dobrych audycji.

CZWARTEK 27 PAŹDZIERNIK

16.30 Program dla dzieci. 17.10 „W krainie milczących dźwięków" rep. z Państwowego Muzeum Instrumentów Muzycznych (P). 18.15 Łódzka Kronika Filmowa. 19.00 Wybitni soliści w programie rozrywkowym. 20.15 Telewizyjne Studio Literackie „Orzeł czy reszka".

PIĄTEK 28 PAŹDZIERNIK

16.45 Program dla dzieci. 18.25 Wszechnica Telewizyjna: Pierwiastki chemiczne. 20.00 „Rewizor" Mikołaja Gogola tr. z Katowic.

SOBOTA 29 PAŹDZIERNIK

16.00 Młodzieżowa Kronika Filmowa. 16.20 „Nowe atrakcje" film prod. radzieckiej (od lat 7) odcinek II. 18.40 „Trzech ludzi z koncepcją" reportaż filmowy. 19.00 „Nie tylko dla pań". 20.20 „Prosto do celu" film fab. prod. angielskiej od lat 16. 20.05 VI program Kabaretu Starszych Panów.

AKTOR PRZED KAMERĄ TELEWIZYJNĄ

Za tydzień w tym cyklu opublikujemy wypowiedź aktora Teatru Powszechnego — *Tadeusza Sabary*, nadesłaną nam listownie. Za wypowiedź serdecznie dziękujemy.

Kwitujemy odbiór

„Kobra"

W ubiegły czwartek telewizja warszawska zaprezentowała nam kolejną „Kobrę" noszącą dźwięczny tytuł „Makabryczne upominki". Na nasz gust było to całkiem niezłe widowisko sensacyjne — sensacyjne, ponieważ zagadki kryminalnej we właściwym tego słowa znaczeniu, obfitującej w fałszywe tropy i liczne określone postacie spośród których trzeba wybrać przestępcę — właściwie nie było.

Realizacja JÓZEFA SŁOJEWSKIEGO — nader staranna, również i obsada aktorska (że wymienimy tylko nazwiska BARBARY DRAPIŃSKIEJ, TADEUSZA BIAŁOSZCZYŃSKIEGO i ANDRZEJA SZALAWSKIEGO) z prawdziwego zdarzenia. Ba, niemal wszyscy aktorzy — co nie zawsze w „Kobrze" się zdarza — prawie bezbłędnie umieli tekst...

Teatr Telewizji Łódzkiej

„POD DRZWIAMI"

„Pewien człowiek wraca do Niemiec.

Długo był nieobecny. Bardzo długo. Może zbyt długo".

„Oto człowiek i ten człowiek wraca do Niemiec. Ten człowiek marznie, głoduje i kuleje! Pewien człowiek wraca do Niemiec! Przychodzi do domu, lecz jego łóżko jest zajęte. Zatrzaskują się drzwi i on stoi przed drzwiami.

Pewien człowiek wraca do Niemiec! Znajduje sobie dziewczynę, ale ta dziewczyna posiada męża, który ma tylko jedną nogę i z jękiem powtarza wciąż jedno i to samo nazwisko. A to nazwisko brzmi Beckmann. Zatrzaskują się drzwi i on stoi przed drzwiami.

Pewien człowiek wraca do Niemiec! Szuka ludzi, ale jakiś pułkownik zaśmiewa się do rozpuku. Zatrzaskują się drzwi i on znów stoi przed drzwiami.

Pewien człowiek wraca do Niemiec! Szuka pracy, ale jakiś dyrektor okazuje się zbyt tchórzliwy. Zatrzaskują się drzwi i on znów stoi przed drzwiami".

(ze wstępu i zakończenia sztuki Wolfganga Borcherta)

Pewien człowiek wraca do Niemiec. Nazywa się Beckmann i pod Stalingradem kula strzaskała mu kolano. Jego żona ma kochanka. Jego rodzice zatruli się gazem. Dziewczyna, którą poznał, ma męża i ten mąż śnił o niej przez tysiąc nocy. Teraz wraca, a Beckmann musi odejść. I znów stoi przed drzwiami.

Jest zarażony śmiercią. Po nocach śni o zabitych, o ludziach, za których wziął odpowiedzialność. On — sierżant Beckmann, który stoi przed drzwiami.

Oto sztuka, opatrzona przez autora drwiącą uwagą, że „...nie zechce jej wystawić żaden teatr, ani obejrzeć żadna publiczność". Ale to nieprawda. Sztuka Borcherta*) zdobyła sobie ogromną popularność po obu stronach Łaby, a w Polsce zrealizował ją ostatnio Teatr Telewizji Łódzkiej.

Nie był to zapewne zamysł pozbawiony ryzyka. Sama sztuka gęsta jest od okropności i zawikłań, pisana ekspresjonistyczną manierą, posępna. Jeden krok mógł tylko dzielić widowisko przygotowane przez **Jerzego Antczaka** od ponurego belkotu, w którym TEN DRUGI (którego każdy zna — jak powiada w didaskaliach autor), rzeka ŁABA, DOBRY PAN BÓG i wszystkie inne postacie, zamieniają się w pozbawione znaczeń i nieczytelne znaki.

Ale ten krok nie został uczyniony. Może poza mało istotnym w ogólnym obrachunku wstępem, ową dokrętką filmową którą nie bez wyczucia nastroju przygotował **Wiesław Rutowicz** — całość jest precyzyjnie czytelna, zwarta i niemalże wstrząsająca.

Szczęśliwa jest adaptacja — skróty, przesunięcia, a nawet poprawki w tekście (wymiana piosenki śpiewanej przez Beckmanna na song Brechta) dokonane przez **Władysława Orłowskiego**, wyszły tylko całości na korzyść, skondensowały ją i zagęściły.

Anczak raz jeszcze dowiódł, że jest reżyserem telewizyjnym wysokiej klasy, że ma swój styl i umie prowadzić aktora. Niechby nawet było coś z prawdy w zarzutach stawianych **Michałowi Pawlickiemu** i głoszących, że zwolna popada on w manierę, powtarza się, operując ciągle tym samym grymasem na umęczonej twarzy — i tak jednak rolę Beckmanna może on zapisać w rzędzie swoich największych osiągnięć.

Bardzo dobry był **Wojciech Pilarski** (Mąż), interesująca i siedząca „w typie" Dziewczyna **(Maria Wachowiak)**, świetnie operujący głosem **Bogusław Sochnacki** (Ten Drugi).

A praca kamer, obfitująca w zbliżenia czyste i dynamiczne zarazem, a te pół-mgły i półcienie snujące się po scenie, sytuacje wystudiowane z drobiazgową dokładnością i nie bez wyraźnego wyrafinowania.

Wejście Męża, którego Beckmann widzi jak przez gęstą mgłę, pierwsza scena z Tym Drugim (tylko buty z cholewami, ciężkie i bezkształtne obok leżącego człowieka), rozmowa z Panem Bogiem przez poręcz schodów — podniesione zostały w widowisku do rangi dramatycznych etiud o ogromnym napięciu.

Cóż można powiedzieć więcej? Był to dobry, potrzebny spektakl ciekawej sztuki, który warto by chyba po jakimś czasie powtórzyć.

J. PANASEWICZ.

*) Ponieważ — a chyba niesłusznie — telewizja zaniechała podawania krótkich informacji o autorze, powtarzamy za „Dialogiem", w którym sztuka była drukowana:

Wolfgang Borchert urodził się w Hamburgu w 1921. Po wystaniu na front wschodni ciężko ranny, następnie pod zarzutem zdrady skazany na śmierć, ułaskawiony w beznadziejnym już stanie zdrowia, w 1945 roku wyjechał do Szwajcarii, gdzie w gwałtownym pośpiechu zabrał się do pisania. Umarł 19 listopada 1947 r., na dzień przed prapremierą swojej sztuki.

Perspektywy TV

Prymat techniki, a co z kadrami?

Parę dni temu w Klubie Sprawozdawców Telewizyjnych SDP odbyło się spotkanie poświęcone perspektywom rozwojowym naszej telewizji. Jeśli idzie o stronę techniczną to dotychczasowe osiągnięcia są w tej mierze imponujące a zamierzenia na przyszłość nawet szokują rozmachem. W roku 1956 startowaliśmy z 9 tys. odbiorników telewizyjnych. W końcu września br. na terenie kraju zarejestrowanych było 354 tys. telewizorów z czego wiele na wsi. Do końca tego roku przekroczymy liczbę 400 tys. odbiorników. W roku przyszłym przewiduje się wzrost liczby abonentów do 600 tys, a w roku 1965 do, 1,5 miliona.

Plan pięcioletni zakłada iż w roku 1965 stacje telewizyjne obejmą swym zasięgiem 85 proc. terytorium kraju zamieszkałe przez 90 proc. ludności. W roku 1961 uruchomione zostaną stałe stacje w Gdańsku, Lublinie, Bydgoszczy, wzmocniona będzie stacja olsztyńska. W następnym roku stacje otrzymają: Zielona Góra, Kraków, Poznań, Kielce, w 1963 r.: Białystok, Szczecin, Koszalin. Na 1965 rok przewidziane jest wzmocnienie stacji w Łodzi i Warszawie.

W grudniu Warszawa otrzyma nowe studio telewizji a w roku przyszłym rozpocznie się budowa centrum radiowo-telewizyjnego w Warszawie. Sieć łącz telewizyjnych umożliwi szerszą niż dotąd wymianę programów krajowych i zagranicznych.

To tyle o perspektywach rozbudowy strony technicznej naszej telewizji. Ale każdy wie, że technika jest w danym wypadku tylko środkiem dotarcia do telewidza, nie zaś celem samym w sobie. Tym celem jest program, jego wymowa, walory polityczne i wychowawcze, jego poziom. Program robią ludzie. A o ludziach naszej telewizji ogólnie biorąc wciąż mówi się nie najlepiej. Pewnie, że trudno w ciągu trzech lat pracy osiągnąć od razu wysoki poziom kwalifikacji zawodowych w tej zupełnie nowej dziedzinie. Ale też nie wolno nam stać w miejscu. Jeśli mówimy o perspektywach technicznych to wiemy, że dla zabezpieczenia tej strony szkoli się na politechnikach inżynierów elektryków i radiowców. No a dla programu? Dyrektor Pański narzeka na stały brak etatów. Kiedyś jednak ta sprawa będzie załatwiona jednym podpisem, a skąd wówczas telewizja weźmie ludzi? Czy znów tak jak pisał Jerzy Hordyński w „Życiu Literackim" do TV zaczną napływać te siły które są zbędne ze względu na swoją wartość w redakcjach radia i prasy? Czy znów tak jak w momencie startu do TV przyjdą ludzie niepotrzebni w filmie? Czy o takie kadry powinno nam chodzić? Na pewno nie. Do telewizji powinni przyjść ludzie rzetelnie znający swój zawód, dziennikarze, reżyserzy teatrów, sprawozdawcy radia, plastycy itd. Powinni przyjść też absolwenci np. polonistyki i objąć rzeczywistą pieczę nad stroną literacką całego programu. Wszyscy ci ludzie muszą mieć jednak pojęcie o telewizyjnej specyfice, muszą już wcześniej znać technikę pracy TV, muszą od początku swe studia ustawiać w tym kierunku, nie zaniedbując strony praktycznej, a więc żyjąc w stałym kontakcie z konkretnym ośrodkiem telewizyjnym, biorąc nawet udział w jego pracy na zasadzie, powiedzmy, praktyk bezpłatnych.

Czy nasza telewizja troszczy się o przygotowanie kadry programowej? Za trzy, cztery lata ruszy wiele ośrodków terenowych i prawdopodobnie w imię wszechstronności programu ogólnopolskiego trzeba będzie zrezygnować z krzywdzącej proporcji współczesnej w tworzeniu zestawów audycji (teren 25 proc. Warszawa 75). Ten teren może mieć bardzo wiele do powiedzenia i pokazania. No i chyba powinien to zrobić.

No dobrze ale skąd wziąć te kadry? Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa i Aktorska w Łodzi? Tych kilku operatorów i reżyserów pragnących zresztą pracować w o wiele intratniejszym filmie? A więc nie. Studium dziennikarskie przy Uniwersytecie Warszawskim? Też chyba nie bo wiemy co umie absolwent „dziennikarki", nawet ten absolwent studium dwuletniego co trafił tam po wyższych studiach, co jest wart w konkretnej pracy redakcyjnej. Taki człowiek staje się jakim takim dziennikarzem dopiero po dwóch trzech latach. Mówimy tu o gazecie, a co dopiero w telewizji?

Napewno nie jesteśmy powołani do dawania rad światłemu kierownictwu naszej telewizji, ale wydaje się że jest rozwiązanie problemu, aczkolwiek związane z pewnymi kosztami. Istnieje grupa ludzi młodych, zdolnych, interesujących się telewizją i znających nieco technikę jej pracy. To młodzi reżyserzy, pisarze, muzycy, plastycy z STS, to niektórzy dziennikarze prasy i radia, słowem ludzie, którzy pokazali już co potrafią, mają jakieś zawodowe doświadczenia i osiągnięcia, reprezentują jakiś poziom. To daje pewne gwarancje na przyszłość. Czy nasza telewizja w trosce o swoją przyszłość nie mogła by stworzyć własnego ośrodka szkoleniowego dla tych ludzi może nawet zaocznego? Czy nie warto by im zagwarantować w wypadku pomyślnego ukończenia studium-pracy w TV, a w czasie nauki czegoś w rodzaju fundowanych stypendiów. Czy np. telewizja nie może również wpłynąć w swoim interesie na uzupełnienie programu studiów w PWSFiA oraz w innych szkołach tego typu o zagadnienia telewizyjne?

Pamiętajmy bowiem, że tych paru zdolnych i cenionych realizatorów TV już za rok nie sprosta wymaganiom. A na resztę obecnej obsady TV nie liczylibyśmy zbyt poważnie...

W. M.

Dwaj poeci francuscy

Na „dni francuskie" zjechała do Polski delegacja francuska, złożona z wybitnych uczonych, filologów i slawistów, poetów i filmowców. Dwaj poeci, którzy wchodzą w jej skład to znakomici przedstawiciele dwu odległych od siebie pokoleń literackich — Jean Cocteau i Pierre Emmanuel.

JEAN COCTEAU, dobiegający siedemdziesiątki, członek Akademii Francuskiej (i Belgijskiej), poeta, prozaik, autor dramatyczny, scenariopisarz i rysownik był wielekroć tłumaczony na polski (przez Iwaszkiewicza, Ważyka, Hertza, Zb. Bieńkowskiego, Kołonieckiego i innych) i grany na naszych scenach („Orfeusz" i „Maszyna piekielna") — nie ma zatem potrzeby przedstawiać go czytelnikom poezji i bywalcom teatrów. W Polsce bawi przede wszystkim jako twórca (autor i reżyser filmu „Testament Orfeusza", który wchodzi na nasze ekrany. Wiersz którego przekład drukujemy poniżej, pochodzi z tomu „Światłocień" (1954).

PIERRE EMMANUEL, urodzony w r. 1916, reprezentuje generację, która doświadczenia wojny, okupacji i walki podziemnej przeżyła może najgłębiej i najboleśniej. Poeta mający już za sobą dwanaście tomów wierszy, eseista, dziennikarz, autor słuchowisk radiowych. Pierre Emmanuel wiele podróżował po Europie i Ameryce, gdzie wykładał literaturę francuską w Harvard i John Hopkins University. Polskę odwiedza po raz pierwszy. Utwór zamieszczony poniżej jest fragmentem poematu „Grób Orfeusza" (1941).

S. B.

Jean Cocteau

Nie twierdzę...

Nie twierdzę że osiągnę sprawność wysłowienia
W której nasza epoka widzi tyle szczerb
Że odnajdę w mym sercu rachuby Montaigne'a
I wyniosłość tej bramy którą wszedł Malherbe

Pochlebiam sobie jednak że dojrzałem przy nich
Bo w bezimiennej ściany ubogim istnieniu
W jej robionej prostocie widzę kształt świątyni
Czarne słońce wielbione w waszym światłocieniu

Już to strzegę dogmatów waszego obrządku
Już to wyroki głoszę we własnym imieniu
Lecz daleki od sprawnej wymowy porządku
Szanuję jej kapłanów i staję w ich cieniu

Pierre Emmanuel

Grób Orfeusza

„Tobie, który nie chcesz wiedzieć, co to jest radość,
powiadam: radość to jedyne drzewo na pustyni.
Cóż za wezbranie na jego widok i cóż za obcość
wypełnia cię, o, podróżniku! Czy pokochasz
kiedykolwiek
na tyle, by pojąć odwagę tego drzewa,
które, nareszcie czyste od męki samotności,
wrasta w milczące oddalanie się nieba jesieni,
aby, nagie, przejrzeć się w spojrzeniu boga?"

Tłumaczył: STANISŁAW BRUCZ

do redaktora

„Odgłosów"

Z prawdziwą przyjemnością stwierdziłem przy lekturze „Odgłosów", że pismo Pana zajęło się doniosłą — zdaniem wielu ludzi i moim — działalnością kina studyjnego. Idzie o to po prostu, że jest to akcja potrzebna społecznie. Odnośnie jednak artykułu: „Problemy kina studyjnego", pióra p. A. Nieśmiałka, proszę o sprostowanie jednej informacji. Mianowicie: inicjatorem akcji kina studyjnego w Łodzi był dyrektor Okręgowego Zarządu Kin, p. B. Kulesza. Z jego inicjatywy i dyspozycji kino „Adria" na przełomie roku 1958-59 — jako pierwsze w Polsce rozpoczęło projekcję filmów artystycznie wartościowych. Rok 1959 był okresem próbnym — i próba ta powiodła się niespodziewanie dobrze. Dowiodła tego ankieta przeprowadzona wśród bywalców „Adrii". Dopiero od 1 stycznia 1960 r. akcja kina studyjnego rozszerzyła się. Przeniesiono ją do kina „Gdynia" równocześnie powstał komitet programowy, do którego — obok pp. Olejniczaka, Palińskiego, Bujacza, Wojnarowskiego i Osady — mam przyjemność jako przedstawiciel Zakładu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego należeć. Obecnie komitet ten zostanie rozszerzony o stałych przedstawicieli łódzkiej prasy, radia i telewizji.

Sprostowanie to jest konieczne, by oddać sprawiedliwy ukłon wdzięczności właściwemu inicjatorowi całej akcji, tj. dyr. Bronisławowi Kuleszy.

Łączę wyrazy szacunku.

B. W. LEWICKI

Najostrzejsze ołówki ŚWIATA

ANDRE FRANCOIS

Andre Francois znany już jest Czytelnikom niniejszej rubryczki, publikowaliśmy jego żarty już dwukrotnie.

Cykl żartów — „Cztery pory roku" — obiegł dosłownie cały świat, reprodukowany w czasopismach i książkowych antologiach najlepszych dowcipów. Nie dotarł tylko do Polski. Na naszych łamach ukazuje się po raz pierwszy w kraju.

Malarz i jego modelka — zdawać by się mogło — temat doszczętnie wyeksploatowany przez karykaturzystów; Andre Francois potrafił jednak i tu odnaleźć świeżą, pomysłową, niebanalna anegdotę. Malarz i jego modelka — także temat prowokujący do tłustych dwuznaczników. Ale nie ma w tych żartach nic z taniego erotyzmu, choć Francois nie rezygnuje z pikanterii — pozostaje jednak w granicach dobrego smaku. Nawet w rysunku „Wiosna", gdzie dowcip jest chyba najbardziej ryzykowny — pointa podana została w sposób dyskretny, aluzyjny.

Aluzyjny — nie znaczy nieczytelny. Humor Francois, mimo że operuje najczęściej absurdem, wbrew swoim powinowactwom do surrealizmu — jest zawsze zrozumiały dla każdego.

Trudno zresztą opisywać i komentować te żarty. Tu słowa są zupełnie niepotrzebne... (jert)

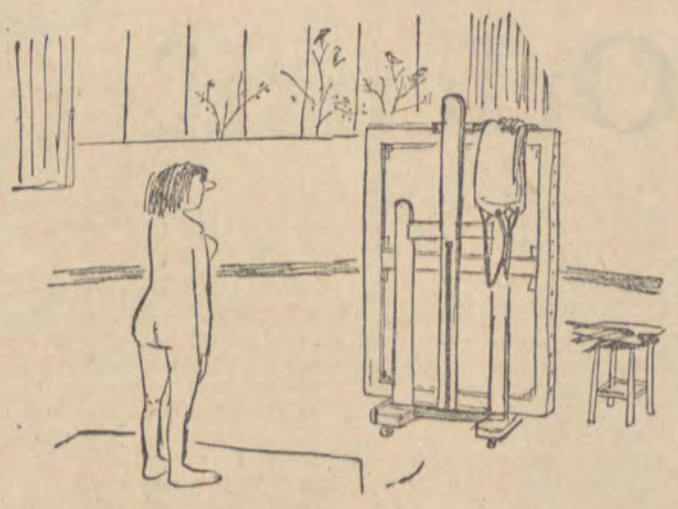

Wiosna

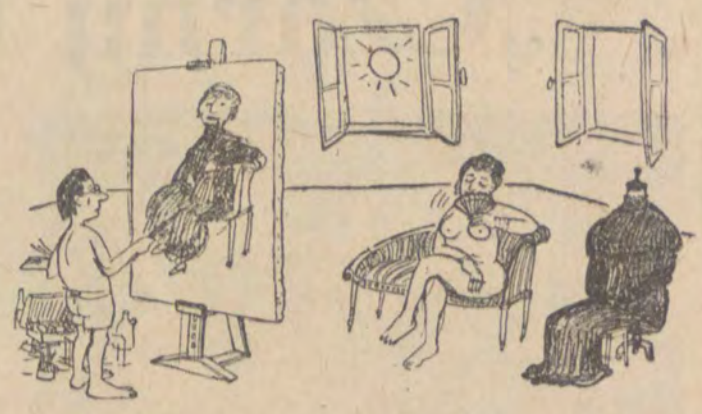

Lato

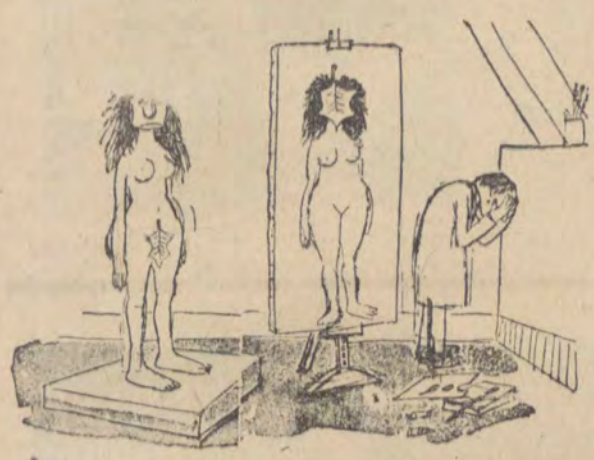

Jesień

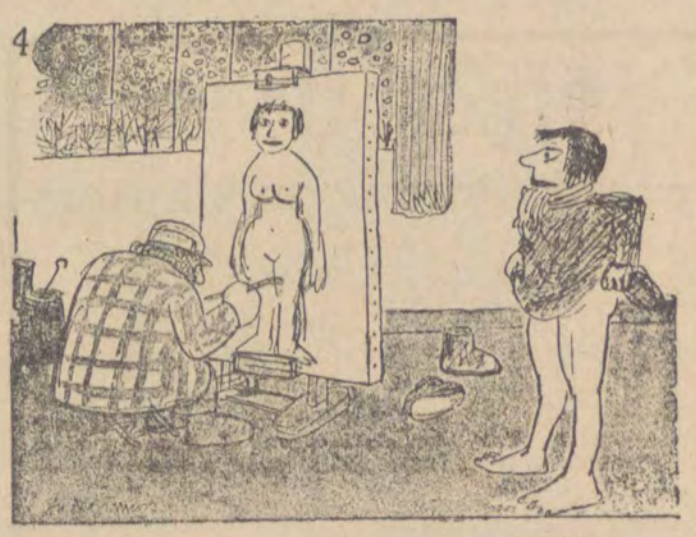

Zima

ŁÓDZKI BIGOS Historyczny

(„DZIENNIK ŁÓDZKI — pismo handlowe i literackie", r. 1891, m-ce I—VI, nry 138, 139, 141, 145, 198, 200, 204)

... Towarzystwo kapitalistów z Belgii zobowiązuje się w ciągu 5-ciu lat skanalizować i zaopatrzyć w wodociągi całą Łódź, jak i pobliską okolicę przemysłową, kosztem 6 mlj. rubli. Kapitały systemem amortyzacyjnym mają się im zwrócić po 50-ciu latach. Wodociągi i kanały mają być opracowane podług projektu tutejszych inżynierów p. Słowikowskiego, Bronikowskiego i Somera, którzy pracowali nad tem lat kilka. Towarzystwo za projekt ten chce zapłacić z góry. Jak dotąd nie powzięto jeszcze żadnej decyzji stanowczej w Warszawie...

NOWI AWANTURNICY

Znów dwóch śmiałków nowojorskich przedsięwzięło wielce śmiałą podróż z New-Yorku do Liverpoolu w małych łódkach; pierwsza ma 14 stóp długości, a druga — prawie identyczne wymiary. Obaj awanturnicy wyjechali w środę ubiegłego tygodnia z New-Yorku.

O DOROŻKACH ŁÓDZKICH

Obecnie w Łodzi znajduje się 560 dorożek jednokonnych. Właściciele tych koni, wyniszczonych i ledwie żywych, przewożą na znaczne odległości wielkie ciężary, bądź też nadmierną liczbę pasażerów (często po 6—10 osób w jednej dorożce...).

KUBA ROZPRUWACZ DZIAŁA...

Pojawił się znów w Londynie, nadesłał list, który brzmi: „George Yard. Whitechapel. Mam zamiar rozpocząć wkrótce znów swoje operacye w tej okolicy. Gdybyś, pan, lub pańskie towarzystwo piekielne (policya) spróbowali odkryć moją kryjówkę, to dopomóż mi Boże... w sercu twoim nóż utopię. Strzeżcie się zatem, słuchajcie mojej przestrogi i pozostawcie mnie w spokoju. Z uszanowaniem Kuba Rozpruwacz. GWB są początkowemi literami mego nazwiska".

WINA TELEGRAFU

Ach, ci nowocześni małżonkowie. Pewna młoda małżonka telegrafowała z Berlina do swego męża bawiącego od pewnego czasu w Peszcie: „Najdroższy Henryku, jesteśmy wszyscy zdrowi, pisz prędko i pozostań wierny twojej Mimi". Dnia następnego młoda małżonka odbiera depeszę następującą: „Niestety, telegram twój odebrałem za późno. HENRYK".

NOWA CUKIERNIA W ŁODZI

Cukiernia Aleksandra Roszkowskiego, dawniej cukiernia Ryemonda — poleca cukry deserowe, czekoladki, petifury, lody, kremy, galarety, piramidy weselne, torty fantazyjne. Na składzie produkty z fabryk: E. Wedla, Risego i Piotrowskiego. Znaczny zapas gustownych bombonierek.

Z ŁODZI DO ZGIERZA...

Roboty około przeprowadzenia linii telefonicznej bezpośredniej do Zgierza już rozpoczęte. Narazie będzie przeprowadzony tylko jeden drut telefoniczny, który połączy stację tutejszą z sześciu abonamentami zgierskimi. Za prawo korzystania z telefonu opłaca się rs 150 (rocznie).

Wybrał
ZDZISŁAW KONICKI

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-15 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,— kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" O Druk: RSW Prasa" — Łódź, Zwirki 11. O Zam. 2413. X. 60. R-4

BOLE·ŁAW PEŁKA

NARODZINY MIASTA

Doc. dr Anna Rynkowska

Z przyjemnością można zauważyć, że zainteresowanie dziejami naszego miasta w ostatnich latach znacznie wzrosło. Publikuje się prace naukowe oraz artykuły na łamach prasy tygodniowej i codziennej. Szczególnym powodzeniem cieszy się Łódź dziewiętnastowieczna: do tematyki tego okresu sięgają historycy, literaci, publicyści i dziennikarze. A oto ukazała się książka, która zawiera kopalnie wiadomości o naszym mieście. Jest to praca doc. dr Anny Rynkowskiej pt. „Początki rozwoju kapitalistycznego miasta Łodzi"*). Stanowi ona tom IV zbiorowego wydawnictwa źródeł do historii miast, przemysłu i klasy robotniczej w okręgu łódzkim — opracowanego przez zespół historyków łódzkich pod naczelną redakcją prof. dr Natalii Gąsiorowskiej.

Łódź rozpoczyna swój żywot miasta przemysłowego w pierwszej połowie XIX wieku; rok 1820 jest chwilą przełomową dla miasteczka, którego ludność zajmowała się głównie rolnictwem. Opublikowane przez doc. dr Rynkowską materiały obejmują lata 1820 — 1864 a więc okres przejściowy od feudalizmu do kapitalizmu. Głównym celem wydawnictwa tomu IV było zebranie ciekawych dokumentów archiwalnych ilustrujących najważniejsze sprawy, które rozgrywały się w tym okresie w Łodzi.

Mimo trudnej i, wydawałoby się, jednostajnej formy, jakiej wymaga publikacja tego rodzaju materiałów, ujęcie książki w logicznie zaplanowane rozdziały umożliwia nam rozejrzenie się w kalejdoskopie ówczesnych wydarzeń naszego miasta.

Opis Łodzi z 1820 r. wprowadza nas w życie konserwatywnych mieszczan-rolników, którzy nie spodziewają się jeszcze, że za trzy lata zaczną napływać do miasta imigranci z innych dzielnic Polski, z Prus, Czech i Austrii. Rozdział II — to już inne życie w mieście — tworzy się nowe place, ulice równoległe wytyczone zabudowuje się parterowymi domkami tkaczy i prządków. Ci pierwsi łódzcy rękodzielnicy są jeszcze silnie związani z ziemią — obok warsztatu żądają od miasta ziemi, i na swej 1—3 morgowej działce z równym zapałem uprawiają ogrodnictwo, sieją zboże.

W krajobrazie Łodzi walczy ciągle wieś z miastem. Jeszcze na głównych ulicach pracują wiatraki, jeszcze tkacze kłócą się z fabrykantem Geyerem o zabrane im na terenie miasta pastwiska dla krów. Jednocześnie rozwijający się przemysł wciąga w swą służbę nie tylko coraz większy krąg ludzi ale pożera puszczę łódzką w piecach fabrycznych, wykorzystuje dwie rzeki — Łódkę i Jasień, wówczas obfite w wodę, która dostarcza siły krosnom i przędzalniom.

Tak dochodzimy do rozdziału VI, który mówi o tym, jak rozszerzała się Łódź, jak zabudowują się i brukują nowe ulice, jak miasto upiększa się drzewami i parkami. Z czasem tworzą się dzielnice przemysłowe i handlowe: na peryferiach skupiska ubogiej ludności, zaniedbane i brudne, atakowane przez choroby zakaźne, a nawet epidemie cholery.

Centrum miasta od zarania Łodzi przemysłowej był Nowy Rynek (plac Wolności); wśród ulic królowała długa na 4 kilometry Piotrkowska. Po ulicach, oświetlonych z rzadka olejnymi latarniami rewerberowymi kursowały dorożki, których właściciele przeklinali błoto i wyboje niebrukowanych przeważnie ulic. Wzdłuż chodników płynęły kanały ściekowe, a wyziewy ich zatruwały powietrze miejskie.

Rozdział IX wprowadza czytelnika do spraw bolesnych kapitalistycznego miasta przemysłowego — do kryzysów, stagnacji, klęsk elementarnych i okresów głodowych. Wraz z rozwojem miasta wzrastały jego wymagania kulturalne. Poziom wykształcenia mieszkańców był niski, odczuwano niedostatek szkół elementarnych. Najlepiej rozwijało się szkolnictwo zawodowe, które dostarczało fachowców do przemysłu i handlu. Powstają zaczątki szkolnictwa średniego, łodzianie zaczynają marzyć o politechnice.

Rozejrzenie się w problematyce książki ułatwiają zawarte na końcu książki indeksy (rzeczy, osób, miejscowości ulic), które opracowała mgr Natalia Canova. Szczególną uwagę zwraca tu indeks ulic i placów, który dla wielu łodzian będzie ciekawą nowością.

*) Początki rozwoju kapitalistycznego miasta Łodzi. Opracowała Anna Rynkowska. Polska Akademia Nauk. Instytut Historii. Warszawa. „Książka i Wiedza" 1960, s. XII, 552, cena 90 zł.

Film miesiąca

„Czarny Orfeusz"

Romantyczny, okrutny i piękny jest „Czarny Orfeusz" Marcela Camus.

Pomysł — przeniesienie starego mitu w środowisko brazylijskich Murzynów i rozegranie go w ciągu szaleńczych chwil karnawału okazał się zrealizowany bezbłędnie. W tej właśnie konwencji porywająco opowiedziano nam legendarną, a uwspółcześnioną historię miłości Orfeusza i Eurydyki, szkicując ją na tle wspaniałego obrazu ludzkiej radości i bez troski — zdawałoby się — gromadzonej przez cały rok dla wyładowania jej w ciągu trzech krótkich dni karnawału.

Film Camusa jest niesłychanie prosty, prawie naiwny; odwieczną historię miłości, zazdrości, strachu i śmierci — opowiedziano w sposób prosty i ujmująco szczery. Spotkanie Orfeusza i Eurydyki, narastanie ich miłości i gwałtowne jej przerwanie — przeżywamy tak, jak przeżywa się piękną, wzruszającą, lecz nieskomplikowaną psychologicznie baśń. Nawet drastyczne, okrutne sceny filmu, umiejętnie wkomponowane w legendarną fabułę tracą swój tragiczny sens: przeniesiony w dzisiejsze czasy moment śmierci Eurydyki, czy wizytę w kostnicy — odczuwamy jedynie jako niezbędne etapy drogi do uczucia ostatecznego i ponadczasowego, wcielającego się w coraz nowych bohaterów.

Mimo wszystko romantyczna historia Orfeusza i Eurydyki wydaje się pomysłowym pretekstem dla ukazania tego, co w filmie wyszło na pierwszy plan — rozbawionego do szaleństwa tłumu Murzynów w dni karnawału. Warto tu zwrócić uwagę na mistrzostwo reżysera, który świetnie panuje nad obrazem ekstatycznej, karnawałowej zabawy. Kompozycja każdego prawie kadru „Czarnego Orfeusza" zachwyca harmonią wszystkich jego elementów. Idealne zgranie pomysłów reżysera z umiejętnościami bohatera jego filmu — tłumu Murzynów dało w wyniku widowisko do złudzenia autentyczne, pełne wyrazu.

Taniec, ruch, rytm, śpiew i kolor to właśnie główne składniki tego filmu, ludzie wydają się tylko ucieleśnieniem tych elementów — cudownie zgrabne, piękne kobiety i mężczyźni, fascynujący urodą i temperamentem. Na ich tle — znakomici odtwórcy głównych ról: piękna Eurydyka (Marpessa Dawn) i Orfeusz (Breno Mello). Wydaje się, że liśćmi ze „Złotej Palmy" otrzymanej w Cannes, winien się Marcel Camus podzielić z bohaterami swego filmu.

EWA NURCZYŃSKA

YVELINE CERY — młoda aktorka francuska.

PIĘĆ MINUT
przed pierwszym klapsem

Z reż. Kuźmińskim — o „Milczących śladach"

Zbigniew Kuźmiński ukończył w 1946 roku Instytut Filmowy w Krakowie. Od tego czasu współpracował przy realizacji wielu filmów fabularnych jako asystent lub drugi reżyser — między innymi przy realizacji wszystkich filmów Aleksandra Forda, łącznie z „Krzyżakami", za co dostał Honorową Odznakę miasta Łodzi. Jest on ponadto autorem kilku widowisk telewizyjnych i kilku filmów oświatowych. W tej chwili przystępuje do realizacji zdjęć pierwszego samodzielnego filmu pełnometrażowego — „Milczące ślady".

— Tytuł *„Milczące ślady"* zapowiada, jak mi się wydaje, film sensacyjny?... — zacząłem rozmowę z reż. Kuźmińskim.

— Tak. Fabuła będzie sensacyjna: tropienie bandy „Pioruna", działającej w 46 roku na ziemiach krakowskich. Ale nie chodzi nam tylko o „zabawienie" widowni. Chcemy przede wszystkim pokazać ciche, codzienne bohaterstwo ludzi, którzy umacniali władzę ludową w czasach tej — straszliwej wojny domowej, jaka rozgrywała się w latach tuż powojennych, zwłaszcza na południowych terenach Polski. Wprawdzie postać „Pioruna" jest fikcyjna, ale scenariusz napisany został przez uczestnika i obserwatora tamtych wydarzeń — Mariana Kozłowskiego, posiada więc niewątpliwie pewne cechy dokumentu, przynajmniej w sferze realiów. W ogóle — wydaje mi się, że burzliwy okres powojenny doczekał się wreszcie należytego zainteresowania w filmie. Przykłady? — Oglądamy już „Rok pierwszy", „Powrót"; Petelscy przygotowują „Luny w Bieszczadach";

— Podobno lada dzień wyruszacie na zdjęcia plenerowe. Dokąd?

— Wyjeżdżamy — do Szczawnicy i później na kilka dni do Krakowa. Mniej więcej po 6 tygodniach wrócimy do łódzkiego atelier. Całość zdjęć zakończymy w połowie stycznia. Znaczy to, że „Milczące ślady" mogą ukazać się na ekranach jeszcze w pierwszym kwartale nadchodzącego roku.

— A jeśli chodzi o obsadę?

— Główną postać, kapitana Morwę, zagra Józef Nowak, znany jako Szczęsny z „Celulozy". Ciekawsze role będą mieli: przede wszystkim Wojciechowski z Teatru 7.15, dalej Skoczylas, Butrym, Kłosiński... Co do kobiet, to decyzji jeszcze nie ma. Ale będą to role raczej epizodyczne.

Rozmawiał:

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

MIKRO-ANKIETA „MIESZANKI"

Jagienka ☐

Danusia ☐

Jurand ☐

Jagiełło ☐

Zbyszko ☐

Maćko ☐

Imię i nazwisko wysyłającego .....

Adres .....

.....

Ćwierć miliona łodzian obejrzało już „Krzyżaków"! Film Aleksandra Forda pobił wszelkie rekordy powodzenia — a jednocześnie wzbudził zawzięte spory i dyskusje. Czy Zbyszko odpowiada naszym wyobrażeniom z lektury Sienkiewicza, czy Jagienka nie jest zbyt eteryczna, a Jagiełło zbyt posągowy? — wszystkie polemiki koncentrują się przeważnie wokół bohaterów filmu.

Uczestnikom tych dyskusji chcemy dać sposobność do publicznego wyrażenia swojej opinii.

Zadanie uczestników naszej ankietki jest proste — należy wypełnić załączony kupon, stawiając przy poszczególnych imionach odpowiednią notę, w zależności od tego, jaka jest wasza ocena „filmowego wydania" sienkiewiczowskich postaci. Skala ocen — jak w szkole: 5 — bardzo dobrze, 4 — dobrze, 3 — dostatecznie, 2 — niedostatecznie, 1 — źle.

Kupon należy nakleić na karcie pocztowej i przesłać do redakcji w terminie do dnia 3 listopada 1960 r.

Pomiędzy wszystkich uczestników ankiety rozlosujemy nagrody książkowe.

JESZCZE O „POWROCIE"

(Choć w ubiegłym numerze wydrukowaliśmy już ocenę nowego filmu Jerzego Passendorfera — to jednak wydaje nam się celowe raz jeszcze powrócić do tej pozycji. Tym bardziej, że wypowiedź Henryka Walendy porusza bardzo istotną sprawę „granic" adaptacji dzieła literackiego — na pewno warta przedyskutowania. RED.).

Ludzie interesujący się cokolwiek literaturą współczesną zetknęli się zapewne, jeśli nie przeczytali, z niewielką powieścią Romana Bratnego „Szczęśliwi torturowani". Jest to książka o nieudanym powrocie Siwego, zamachowca i uczestnika Powstania, do Warszawy. Siwy nie wrócił na stałe — pozostawił w Paryżu rodzinę, sam mieszka tam dobrze urządzony. Do Warszawy wraca jakby wbrew samemu sobie — szuka dawnych przyjaciół, towarzyszy broni, kobiety, którą kochał. Wyobrażenie o rodzinnym mieście, o ludziach jest inne niż rzeczywistość i dlatego Siwy przegrywa.

Streszczenie oczywiście niepełne i spłycające powieść, ale chodzi o coś zupełnie innego — o film „Powrót". Tak się złożyło, że nie czytałem nic o nim w trakcie produkcji. Zaproszony na pokaz do WFF, ani przez moment nie podejrzewałem, że zetknę się z czymś znanym. Także podczas oglądania czołówki, gdy czytałem: scenariusz — R. Bratny z niczym tego nie skojarzyłem. Ale już pierwsze słowa dialogu, pierwsze spotkanie Siwego z Andrzejem rozwiało wszelkie wątpliwości. Oczywiście nie mam prawa robić zarzutu autorowi scenariusza i książki, że nie wspomniano nic o książce, choć gdy kręcono „Nikodema Dyzmę" zmiany były znacznie większe, a mimo to wspomniano o pierwowzorze. Nie o to jednak chodzi. Zdenerwowała mnie i przeraziła zmiana zasadnicza — zmiana końcowej pointy.

W „Szczęśliwych torturowanych" Siwy wraca do kraju powodowany wewnętrzną potrzebą, pchany instynktem dla niego samego niejasnym. W filmie podróż Siwego wypada z „grafiku" szoferskiego — pryncypał, businessman francuski, zawędrował do Poznania. Tym samym nieprawdziwa staje się żarliwość bohatera w poszukiwaniu straconego czasu, inaczej bowiem reaguje ktoś przyjeżdżający z własnej woli, inaczej przypadkowy przybysz.

Realizatorzy kazali mi zapomnieć o powieści. A przecież „Szczęśliwi torturowani" są w prywatnych, publicznych bibliotekach, można do nich zajrzeć, jeśli się tego jeszcze nie zrobiło i wówczas nikt myślący nie może oprzeć się refleksjom. Zaczynają pojawiać się pytania: dlaczego potraktowano scenariusz jako oryginalny? Dlaczego zmieniono zakończenie? Czy współczesny pisarz ma prawo czynić tak daleko idącą zmianę, która powoduje absolutnie różną motywację, postępowanie bohatera? Nie wstępuje w szranki, by bronić niezmienności, by odbierać autorowi prawo do zmian. Jednak takie wariacje na tematy własne

wydają mi się wysoce niebezpieczne, a w omawianym przypadku wręcz niepotrzebne. Co nie wystarczy powiedzieć, że po 15-letniej obecności nie wolno szukać Warszawy, ruin i martyrologii? Czy doświadczenia Siwego, nie szofera, lecz emigranta, wracającego w roli turysty nie byłoby dość wymowne dla widza i trzeba było szukać jakiej nowej pointy? Dla mnie jest to przejaw nachalnego „upolitycznienia" nie robiącego na odbiorcy wrażenia, a dla części widowni, tej znającej powieść, powód do zdenerwowania.

Przecież obcość tego przybysza wypunktowano świetnie. Jego spotkanie ze strzelającym chłopcem, gdy na pytanie — Jesteś powstańcem? — otrzymuje odpowiedź: — Nie, na podwórku wylądowali Marsjanie, z nimi walczę...

Można podać jeszcze inne przykłady. Wszystkie one mówią na korzyść realizatorów, świadczą o umiejętności przekazywania językiem filmowym pewnych idei. Pointa nie wynika z nieporadności. Reż. Passendorfer skoncentrował się na postaci Siwego zarysował go wszechstronnie, a powód, dla którego w końcu postanowił zrobić z niego pozera, pozostanie dla mnie tajemnicą.

Film jest bardzo smutny i bardzo polski. Jest on także zbyt „przechodzony" i „przemilczany". Smutek Siwego wynika z jego postawy, ale dlaczego reszta Warszawy, odbudowanej i żywej co pokazano) jest także smutna i nostalgiczna? Stworzono sztucznie smutne miasto, aby współgrało ze smętkiem i samotnością bohatera, zamiast pokazać je żywe i prawdziwe wbrew przeżyciom bohatera. Myślę, że ten kontrast jeszcze bardziej by podkreślił osamotnienie i beznadziejność Siwego.

Po obejrzeniu „Powrotu" ogarnął mnie niepokój — zastanawiam się, co jeszcze będzie można wymyślić sięgając do literatury, aby zapomnieć o niej i tworzyć „rzeczy nowe".

Na początek proponuję nakręcić nową wersję „Kamiennego nieba" i zmienić zakończenie jako zbyt smutne i mało dramatyczne: — to wszystko się śniło, a obudzony bohater oddycha pełną piersią przy akompaniamencie salw armatnich zza Wisły. Potem zająć się wynajdywaniem nowych point dla powieści Żukrowskiego, Czeszki, Hena, czy Brandysa. O klasyków nie ma się co martwić, bo przecież wówczas reżyser sam będzie „twórcą" przeróbki.

H. WALENDA